

**KRONIKA
ŻYCIA
I TWÓRCZOŚCI
STANISŁAWA
IGNACEGO
WITKIEWICZA**

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIX Nr 2(330) Żelów, luty 2024

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Natalii Belcenko, Michała Kaczmarka,
Wojciecha Kajtocha, Janusza Orlikowskiego,
Ewy Katarzyny Skorupskiej

Andrzej Dębkowski – *Jaka przyszłość kultury?*

Józef Baran – *Ławeczka Barana* (15)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codziennosci* (208)

prof. Ignacy S. Fiut – *Podróż w poecie*

Stefan Jurkowski – *Zmienność bytu*

Joanna Friedrich – *Egzotyka sacrum*

Andrzej Walter – *Modlitwa o poezji trwanie*

oraz *Ósmy dzień Adrianny Jarosz*

Kazimierz Ivosse – *Misja Jacka Kaczmarskiego*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (53)

Eugeniusz Kurzawa – *Spis treści* (17)

Dariusz Pawlicki – *Widzenia wyobraźni*

Jerzy Stasiewicz – *Słowo o prozie Zbigniewa
Niedźwieckiego*

Katarzyna Wierzbicka – *Po trzykroć mgnienie*

Kazimierz Kochański – *Że jak? Że tak...*

Jerzy Stasiewicz – *Spotykać ludzi dobrych
i wartościowych*

Alicja M. Kubiak – *Zdarzenia w czasie*

Piotr Prokopiak – *Tamta jesień*

Grzegorz Pełczyński – *Opowiadania*

Mirosław G. Majewski – *Spotkanie z Arturem
Barcisiem albo jak nie napiłem się z Józefem
baranem*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. Andrzej Dębkowski

Kronika

Janusz Majewski nie żyje



10 stycznia br. w wieku 92 lat zmarł **Janusz Majewski**, jeden z najbardziej znanych i popularnych polskich reżyserów filmowych, mistrz kina gatunkowego, scenarzysta, pisarz i wieloletni prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Informację podało Stowarzyszenie Filmowców Polskich.

Był twórcą takich filmów, jak „Zakłęte rewiry”, „Sublokator”, „Zazdrość i medycyna”, „Lekcja martwego języka”, „C.K.Dezertery” i „Ekscentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy”. Janusz Majewski przyszedł na świat 5 sierpnia 1931 roku we Lwowie. Ukończył architekturę na Politechnice Krakowskiej, a karierę rozpoczął jako autor scenografii filmowych.

W 2013 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla kultury narodowej, za osiągnięcia w twórczości artystycznej i działalności dydaktycznej.

Źródło zdjęcia:
[https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_Majewski_\(re%C5%BCyser\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_Majewski_(re%C5%BCyser))

Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza

W ostatni weekend listopada (to już tradycja związana z andrzejkami) 2023 roku wręczono po raz czternasty Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Fundatorem jest zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich. Wydarzenie odbyło się w ramach tzw. gali literackiej organizowanej w Muzeum Ziemi Lubuskiej.



Fot. Alicja Błażyńska

Z portretem Andrzeja K. Waśkiewicza sfotografowali się (od lewej): Czesław Sobkowiak, jako laureat oraz wręczający mu: nagrodę Eugeniusz Kurzawa i Anna Sobocka, żona patrona tegoż lauru.

Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, przyznawaną przez Oddział ZLP, otrzymał poeta, prozaik, krytyk literacki – **Czesław Sobkowiak**. Obok niego do tejże nagrody nominowani byli **Grażyna Rozwadowska-Bar**, **Maria Jolanta Fraszewska** oraz **Marcin Radwański**.

Podczas gali literackiej wręczono również inne nagrody pisarskie, których fundatorami było Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Pilotuje ono co roku konkurs na utwór o tematyce zielonogórskiej, a nagrodą jest druk książki (poetyckiej, prozatorskiej) zwycięskiego autora.



Fot. Alicja Błażyńska

Na zdjęciu na pierwszym planie Czesław Sobkowiak, laureat Nagrody im. Waśkiewicza, w tle pozostali nominowani i jurorzy.

Należy jednak zaznaczyć, iż nagrodę otrzymuje on dopiero rok później. Zwycięzczą konkursu została w br. **Katarzyna Grabias-Banaszewska**, a nominacje otrzymali: **Maria Jolanta Fraszewska** oraz **Arkadiusz Stosur**. W trakcie wieczoru odbyła się promocja książki **Anny Sobockiej**, „Dedykacje (dla Andrzeja Waśkiewicza)”, a także premiery pism: „Na Winnicy” (TMZG „Winnica”) oraz „Pasje Literackie” (wydawanego przez ZLP).

(Saw.)

Konkursy

II Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Adama - 2024”



I Organizatorami II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Adama - 2024” są: Adam Jarubas – Poseł do Parlamentu Europejskiego oraz Stowarzyszenie Kulturalno-Historyczne „Beldonek” w Pińczowie.

II Celem konkursu jest inspirowanie do aktywności twórczej, promowanie talentów literackich oraz popularyzacja twórczości poetyckiej.

III Warunkiem uczestnictwa w Konkursie jest nadesłanie zestawu trzech wierszy. Utwory nie mogą być wcześniej publikowane, ani nagradzane w innych konkursach. Jury oceni jeden z nadesłanych wierszy.

IV Tematyka i forma utworów jest dowolna.

V Prace konkursowe powinny być opatrzone godłem słownym (pseudonimem), a do nich

dołączona koperta z tym samym godłem w adresie, zawierająca w zaklejonej kopercie kartkę z danymi autora (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, ewentualnie numer telefonu). Prace należy przesyłać w 4 egzemplarzach.

Warunkiem uczestnictwa w Konkursie jest dołączenie podpisanego przez autora oświadczenia o następującej treści: „Oświadczam, że zapoznałem się z treścią i akceptuję w całości regulamin II Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Adama - 2024”. Wyrażam zgodę na przetwarzanie danych osobowych autora pracy konkursowej w zakresie i celach wskazanych w regulaminie”.

VI Jury powołane przez organizatora w składzie: Adam Gwara, Adam Ochwanowski, Adam Ziemiannin oceni nadesłane utwory oraz przyzna następujące nagrody i wyróżnienia: I – 1000 zł; II – 700 zł; III – 500 zł oraz trzy wyróżnienia po 300 zł.

Nagrodzone i wyróżnione prace będą opublikowane na plakacie poetyckim i na portalach literackich.

VII Lista zwycięzców zostanie opublikowana na stronie: www.jarubasadam.pl i na portalach kulturalnych.

VIII Prace konkursowe należy przesłać do dnia 15 marca 2024 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Biuro Poselskie Adama Jarubasa 25-363 Kielce, ul. Wesoła 47/49, z dopiskiem „O Laur Adama” lub dostarczyć do siedziby organizatora.

IX Patronem medialnym Konkursu jest „Gazeta Kulturalna” i Radio z Qlturą, a patronem honorowym – Warszawski Klub Przyjaciół Ziemi Kieleckiej.

X Laureaci Konkursu zostaną powiadomieni o miejscu i terminie wręczenia nagród drogą mailową, bądź telefoniczną. Organizatorzy nie refundują kosztów dojazdu na uroczystość wręczenia nagród.

XI Pytania dotyczące konkursu należy kierować na adres: palac@chroberz.info lub do Adama Ochwanowskiego – tel. 660 271 154.

XII Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów zastrzegając sobie prawo do publikowania i cytowania w mediach nagrodzonych i wyróżnionych wierszy bez dodatkowej zgody autorów i bez honorarium autorskiego.

XIII Ochrona danych osobowych:

1. Administratorem danych osobowych przetwarzanych w ramach konkursu jest Stowarzyszenie Kulturalno-Historyczne Beldonek w Pińczowie.

2. W ramach konkursu Administrator danych przetwarzających będzie imiona, nazwiska, email oraz adres do korespondencji uczestników.

3. Dane wymienione w ust. 2. przetwarzane są na podstawie zgody. Zgoda ta jest dobrowolna i możliwa do wycofania w każdym czasie. Wycofanie zgody nie wpływa na zgodność z prawem przetwarzania przed jej wycofaniem.

4. Celem przetwarzania danych jest identyfikacja uczestników turnieju oraz umożliwienie powiadomienia laureatów o przyznanych nagrodach.

5. Dane uczestników konkursu będą przetwarzane przez czas trwania konkursu i usunięte nie później niż po upływie 3 miesięcy od dnia jego zakończenia.

6. Autor ma prawo dostępu do treści danych, prawo ich sprostowania, usunięcia, ograniczenia przetwarzania, prawo do przenoszenia danych, prawo wniesienia sprzeciwu przeciwko ich przetwarzaniu.

Andrzej Walter

Modlitwa o poezji trwanie

Na moście pokoleń czujemy się coraz bardziej samotni, coraz mniej pewnie i właściwie idziemy do siebie po omacku, choć Oni (kim są Oni?) są świadomi, że opowiadają nam bajki o żelaznym wilku, a my wiemy, że to są takie właśnie bajki i chcemy w nie wierzyć, albo wierzyć w to, że... (czasy te) nie minęły.

Trzymamy oto w ręce jakże niepozorną książeczkę **Marka Wawrzkiwicza**, jak sam określa „takie tam dyrdymały”... zatytułowane „Nie minęło”. Ile wiary jest w tym zawołaniu, w tym hasle, ile oporu na przekór życiu i świat w autoironicznym pomniejszaniu tej książeczki przez samego Autora...

Nie minęło

To jakby zakłęcie Marka Wawrzkiwicza, poeta ten jest bowiem z innej epoki, z innego świata, w którym Literaturę czczono i wielbiono, bowiem wiedziano, jaka jest jej wymierna i niewymierna wartość, wiadano, że Literatura to świat równoległy, świat wyobraźni i snów opowiedzianych historii, świat, w którym poruszamy się myśląc, a myśląc przeżywamy pełniej swoje życie.

A jednak, kiedy się rozglądamy, okazuje się, że **minęło**, i przeminęło, choć było, wydarzyło się, jakoś się zakończyło, i Autor – postać literacko już legendarna, jedyna taka w naszym kraju, snuje ciepło i przytulnie swoją mini opowieść, rozsypuje wszędzie, te swoje bezcenne w treści okruchy i jak sam mówi, czy określa skromnie, dyrdymały. Oczekiwałem (oczekiwałbym) takich dyrdymałów od: Różewicza, od Herberta, Miłosa czy Zagajewskiego, ale otrzymałem od Nich jedynie monumentalne, poważne, bądź arcy-poważne, sążniste w swym przesłaniu) teksty i owszem: zmieniające światy i ludzi, otrzymałem refleksje mędrców i wieszczów, demiurgów rzeczywistości, a Wawrzkiwicz – powieźmy otwarcie, poetycko i literacko im równy (albo nawet momentami ciekawszy)... wycofuje się zawsze gdzieś w tył, za kotarę, za kulisy, ze swojej muszli: obserwuje ludzi, świat i rzeczywistość, zza bariery miłości, światła poezji (w sensie olśnienia poezji), sztuki i obserwacji zdystansowanej, tak zapewne rozumie pojęcie bycia poetą. Poetą totalnym jakbyśmy dziś to nowoczesnie ujęli. Poetą, dla którego nawet księgowość ZLP ma wymiar literacki, albo jakoś tak dobrotnie potrzebą rzeczy potrzebnej i właściwie pachnącej. Poetą, który nie tylko obserwuje i tworzy jak tutaj wyżej przywołani mistrzowie, ale jednocześnie własnym poetyckim cyrografem dowodzi, że oddał tej poezji duszę – właśnie takimi okruchami, ich zauważaniem, dostrzeganiem, odwagą wy-

artykułowania i głoszenie publicznego tych obserwacji.

Cała osobowość Marka Wawrzkiwicza i postać Jego charyzmy opiera się na wierze – wierze na równi: w poezję i w człowieka, na dobrotnym podejściu do świata, na łagodności graniczącej z naiwnością, że pewnych rzeczy się nie robi, albo i robi się (kiedy niestety robić je trzeba aby przetrwać) ale niestety też, poprzez tę dobrotność i wiarę, nie oszukujemy się, w pryncypia Marek niczego nie robi i nie zrobi co będzie „wbrew poezji” i Jej prawom, albo „przeciw poezji” i Jej wykładni w świecie – jaka to wykładnia? – zapytacie, trudno to określić, być może ta norwidowska, że pozostanie po nas Dobroć i Poezja, i więcej nic (...)

Jego upór w tym dążeniu jest jakiś święty, uświęcony wręcz i bezbrzeżnie wolny. Marek Wawrzkiwicz to postać absolutnie wolna, wyzwolona od determinanty laurów i nagród, wyzwolona z okowów tej destrukcyjnej pomnikowości poetów uznanych i jakoś tam wielkich, to duża postać właśnie swą „okrucuchowością z wyboru” i na mapie literackiej Polski – w tej aurze nieco osamotniona. W tej swojej dobrotniej łagodności i naiwnej wierze w poezję nie zabiegał nigdy o laury tłumaczeń i nadmiar propagowania swojej twórczości i swojego ja i tylko dlatego nie był nigdy i pewnie już nie będzie realnym kandydatem do literackiego Nobla, ale Jego twórczość w poezji posiada – nie mam co do tego żadnych wątpliwości – cechy idealnego laureata tej Nagrody.

Właściwie kiedy przeczytacie – powiem inaczej, kiedy byście przeczytali wszystkie wiersze Wawrzkiwicza (rozpoznali całą Jego dorobek i całą Twórczość) potwierdzilibyście wyżej przywołane słowa. Moglibyście wtedy sobie porównać te wiersze do kilku znanych nam już noblistów (poetów, niekoniecznie polskich)... ich warstwę zarówno treściową jak i artystyczną, no cóż, Nobla zatem nie mamy, ale mamy okruchy.

Nic Nie minęło i już nie minie. Marek zyskał bowiem (wcale o to nie zabiegając) swoich wyznawców: ja, niżej podpisany, Andrzej Dębkowski, Adam Marszałek, Andrzej Żor, Andrzej Zieniewicz (który niedawno nas opuścił, ale zawsze podkreślał swoją (...) wiarę w Twórczość Markową)... i wielu, wielu innych: Andrzejów, innych Adamów innych, znam nawet kilku Jurków, kilku innymi agrafkami dopiętych... wyznawców, wrażliwców, idealistów, w dobie upadku autorytetów wierzących w autorytet całkowicie odmienny od wszystkich minionych, w autorytet: wycofany, skromny i modlący się właśnie o poezji... przetrwanie.

(...) Oddajmy głos Autorowi okruchów:

Listopad. Polanica, festiwal „Poeci bez granic”. Mówię coś o literaturze i czuję się skrępowany – przecież opowiadam o rzeczach oczywistych. Ale, ale... To, co dla mnie jest oczywiste, nie jest oczywiste dla innych. Wydarzenia, których byłem świadkiem i uczestnikiem, dla ludzi młodszych ode mnie raptem o jedno pokolenie, to bajki o żelaznym wilku. A przecież to, czego oni przeżywać nie mogli, stało się glebą, na której wyrosło ich życie... skąd się literacko wzięli...”

Słuchając Wawrzkiwicza, ja, poeta rzemieślnik, ledwie czeladnik, życiowo wychowany na bajkach o żelaznym wilku, wiem, że to oczywiste, wiem, że my już tego przeżywać nie możemy, nie będziemy, czyli dla nas... jednak minęło. Co gorsze wydaje się, że bezpowrotnie.

Też czujemy się Marku skrępowanie, żalowanie, wstyd czasami, czy co najmniej zadziwienie dlaczego tak się stało, kto nam to zabrał, dlaczego zostaliśmy okradzeni? Osieroceni? Oszukani? Jakiego użyć słowa?

Współcześni polscy poeci, do których rodziny wszyscy to czytający zapewne się zaliczamy, dzielą się drogi Marku, na dwie kategorie – totalnie odmienne – na tych, którzy wiedzą i wierzą, że to była gleba, na której wyrosliśmy i na tych, którzy usilnie, za wszelką cenę, usiłują to wyprzeć bądź wyciąć w pień, słowem absolutnie zanegować i właściwie nawet skrycie koncentrują tylko na tym cały swój aktywnościowy wysiłek – nie będą wylizali z imienia i nazwiska tych troglodytów, dla których korzeń i tożsamość są warte funta kłaków, ale to jest właśnie dominujący konflikt współczesnego świata. Konserwatyści kontra postępowcy. To się jednak dziś bardzo kamufluje, niuansuje, popada w relatywizm poznawczy, komplikuje się, aby łatwiej było ludzmi bez kręgosłupów zawładnąć.

Bez charyzmy i kręgosłupów jesteśmy chyba wszyscy, tylko rozróżnia nas właśnie stosunek do przeszłości. I właśnie my, ci, którzy tu z Tobą, Marku, pozostali, ci, którzy łakną i szukają, czujemy się dziś: oszukani i zdradzeni przez tych, dla których liczą się tylko: lustra, kolejny stopień na drabinie ponoć „do nieba”, wzięcie kolejnej przeszkody choćby był nią nawet nasz kolega i przyjaciel poeta Nowak czy Kowalski, liczy się dla nich jedynie wzięcie kolejnego lauru i kolejny układ w tej galerii układów jakże zamkniętych i poparć jakże wsobnych, w salonie namaszczonej, w tych wszystkich Toposach, Nagrodach Szymborskiej, Nagrodach Nike czy jakichś przedziwnych nowych Uniach Literackich i tym podobnych nowoczesnych twórcach mających rozsadzić bryłę postaci

(Dokończenie na stronie 4)

Modlitwa o poezji trwanie

(Dokończenie ze strony 3)

minionego świata. Cóż dają nam w zamian? Czy w ogóle cokolwiek? A może tylko psucie i niszczenie poezji. Wynaturzanie jej społecznego wymiaru i kulturotwórczego postrzegania, słowem opluwanie własnych gniazd, defraudację języka, słów i myśli. Czy mamy się na to zgodzić? Czy nam jeszcze, choćby mentalnie, pomożesz z nimi zawalczyć. Przyszły rok 2024 może okazać się też jakoś tam kluczowy. Choć z pewnością nie o jeden rok tu idzie. Tu idzie bowiem o ideę, o wizję, o miłość.

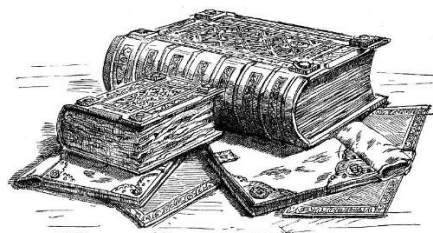
I wtedy okaże się czy minęło, czy nie minęło, czy przemija... i czy przeminie, co minie, co nie minie, i co z tego uratujemy i dla kogo... i czy nadal wobec siebie będziemy czuć się: skrepowani, zakłopotani, smutni i zawstyżeni.

Andrzej Walter



nie minęło
marek wawrzkiwicz

Marek Wawrzkiwicz, *nie minęło*. Redakcja, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębowski. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Korekta: Zofia Sofim Mikuła. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2023, s. 214.



Ósmy dzień Adrianny Jarosz

Jestem, który jestem. Siódmego dnia odpoczywam. Ósmego dnia otwiera się przed nami fascynujący świat poezji **Adrianny Jarosz**. Czy poezja jest właściwym miejscem na czułość i jej utrwalanie na kartkach papieru? Być może jedynym.

Ta poetka jednak z czułością przenika zanikające światy, maluje obrazy baśniowe i realne przeplatając rzeczywistość z magią, wspominając z przemijaniem i wrażliwością na krzywdę z pieśnią o naturze. Właściwie pyta Boga o cały Wszechświat i nasze w nim miejsca, a do tego upomina się o tych: najbardziej, wykluczonych i zapomnianych. Ta mistrzowska poezja jest tylko dla wybranych, dla ludzi sztuki, dla outsiderów, wrażliwców, którzy w wielości pejzaży i barw odnajdują swoją treść i sens, tudzież nową rzeczywistość.

Adrianna Jarosz wskrzesza z niepamięci umarłe kultury, pewnych ludzi wyciąga z mgieł przeszłości, ich ponoć nieważne historie, ich życie, ich miłość i ich umieranie, ich marzenia, przy okazji opowiadając w wierszach: o Tobie, o nas, o sobie, snuje nić poezji w zwyczajności przemijania, w niesprawiedliwości zakleszczenia nas w czasie i przestrzeni zawsze nie tej, zawsze nie właściwie dobranej, a może wręcz nieistotnej. Poezja obrazu i mgły, baśni i dziwnych opowieści, nieistniejących jeszcze słów oraz przestrzeni języka, odkrywanych metafor i fraz niepokoju. Nie przypadkiem przywołuje jako motto Georga Orwella cytując, że

Ważniejsze od przetrwania jest zachowanie swojego człowieczeństwa

Człowieczeństwo, to klucz do sztuki tworzony przez Adriannę Jarosz, człowieczeństwo, jako coś co kurczy się, kruszy bądź zostaje nam odebrane przez: czasy i technologię, przez tak zwany postęp i nowoczesność, przez porzucanie lektur, opuszczanie bibliotek, wyrzucanie książek. Człowieczeństwo w swej różnorodności odsłonek, wymiarów czy wystąpień. Powołane z Bieszczadzkiej bezdroży i tysięcy innych ucieczek od cywilizacji i wszechświata tworzony bezdusnie przez człowieka w tej orwellowskiej wizji unicestwienia ducha.

Pokrył mnie kurz, Panie. Pokrył umysł i serce, lecz póki śnie, oddycham nadzieją.

(...)

Nikt nie wie, Panie, jak słaby jest szew czasu.

Mówią, że nic zerwie się, nim krawiec snów naprawi dzieło mgielnych prządek.

(...)

Póki oddycham, krawiec szyje.

Póki oddychamy, krawiec uszyje tak, jak sami wybierzemy. Czy wybierzemy: modne, silne, przebojowe, czy może: słabe, wątłe i

ukryte. Miłość rodzi się w ciszy, piękno nie umiera, prawdy od lat pielęgnowane stają się – ciężarem albo przestrożą – Ty wybierasz, krawiec snów jedynie może podpowiedzieć, ale Twoja wolna wola jest potężna, choć wydaje się tylko mgieniem. Póki oddycham (...)

Adrianna Jarosz dyskutuje z nami w sposób szlachetny, nienachalny i delikatny. Prezentuje malarskość w poezji jako świadectwo czasów, kultur i bytów, a sprawą odbiorcy jest jego na to wrażliwość, właściwe rozpoznanie i późniejsze poszukiwanie: kto i dlaczego, a właściwie i po co był tu i przemianą. Może nam się tylko wydawało?

Nie ma nic pewnego. *Stoisz na brzegu / pociąga cię bezkres*. Nasze życie rozpięte pomiędzy końcem i początkiem. Pamiętajcie o tym. Codziennność i pęd rzeczywistości, spadające kartki kalendarzy zdają się o tym zapominać, albo choć nie myśleć, wypierać tę jedyną faktyczną prawdę. Poetka nie tyle chce nam ją przypomnieć ile wszczeplić pod skórę jako busole sensualizacji naszego istnienia w świecie skasowanych wrażliwości, w świecie zanikania poezji, defraudacji dusz i niwelowania stanów poszukiwań nieskończoności. To bardzo mądre i ważne przesłanie. Idea wręcz najważniejsza, w świecie wyalienowanym realizacją potrzeb i mnożeniem materii. Baśń czy legenda być może więcej nas mogą nauczyć niż wyrachowane programy edukacyjne nowoczesności wraz z przemysłowym hodowaniem nowego człowieka. Tylko jak ocalić te baśnie i legendy w świecie, w którym trudno ocalić książki?

„Krawiec snów” Adrianny Jarosz z 2021 roku to bardzo dobry tom, tom równie udany jak tomy poprzednie, acz świadczący o ciągłym dojrzewaniu poetki, poetki mi bardzo bliskiej i bratniej, z tej minionej już krakowskiej, *rodzikowo-kajtochowej* macierzy, z *Naglikałkowej* rzeczywistości i wawelskiej wrażliwości na: czas, przestrzeń, człowieka i przemijanie, z tej dawno zapomnianej stolicznej krakowskiej *manany* i oswojania czasu magią zamyślenia, która rozleniwia ludzi z biegiem Wisły. Oboje tam niejako zaczęliśmy, a to niczym skaza na pancerzu, doskonale znamie nadające charakteru i właściwości, wypaczenie tyleż szkodliwe, co zmysłowe i pozwalające oglądać sprawy z dystansu i z odległości. Spleen się przecież uszlachetnia i nigdy nie umiera. Zakażeni Krakowem takimi pozostają. To jednak dygresja, odrobina subiektywnej prywaty, w tym naszym coraz uboższym w tego typu refleksje literackim świecie.

Adrianna Jarosz ukształtowała się na bardzo odrębną, niezależną i wielce oryginalną poetkę XXI wieku. Jaka szkoda, że właśnie takie poetki nie są nominowane do tych niby głośnych nagród, a nominuje się wierszyki banalne, lekkie łatwe i przyjemne, wierszyki o niczym i słowa nic nie warte. Nominuje się kluczem personalnym, a nie wartościującym, kluczem koteryjnym, a nie merytorycznym, pod merytoryczny się jedynie podszycując frazesami i pustostowiem.

(Dokończenie na stronie 9)

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (17)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobiecki

Trzymam grube teczki pełne jej listów, aż do przedostatnich już słabo czytelnymi i ostatnich – pisanych przez młodszą koleżankę z Ełku, Elżbietę Lenczewską. Oddzielne archiwalia, które zgromadziłem, to materiały do jej książek opracowywanych przeze mnie i maszynopisy wierszy. Zupełnie inną pozycję stanowią oprawione powieści, opowiadania i opasły, w płóciennej oprawie, maszynopis pamiętników (478 stron). Ze wzruszającą dedykacją: „w dowód przyjaźni i wdzięczności” (Ełk, 14.10.1992).

Gdy mieszkałem w stolicy Podlasia, były okazje do spotkań w Ełku, ale też dwukrotnie pani Irena pojawiła się w Białymstoku. Starałem się niekiedy jej pomagać, w sprawie ratowania wzroku (dzięki koleźce z Akademii Medycznej udało się skierować pisarkę do Warszawy po okulary soczewkowe), ale głównie próbowałem „sprzedawać” tę piękną postać kolegom z prasy i radia. Powstało sporo publikacji, audycji, reportaży; pewnie dobrze byłoby, gdyby w Ełku ktoś naukowo opracował bibliografię prac o poetce, wznowił jej pisma, choćby te ełckie. Udawało mi się także umieszczać jej twórczość w różnych czasopismach, głównie w suwalsko-mazurskich „Krajobrazach”, „Gońcu Kresowym”, „Kurierze Podlaskim”; potem nabrała rozpędu i sama rozsyłała swe utwory. Aż wreszcie przyszła pora na druk różnorodnych książek autorskich. Nie mogła tylko do końca odżałować, że nie ukazały się powieści. Po cichu chyba uważała się za pisarkę, utwory poetyckie być może traktowała jako twórczość zastępczą. To moja wina, że opasłe tomy maszynopisów powieści leżą na półkach biblioteki w Wilkanowie. Zabrakło mi czasu i cierpliwości, gdyż powieści wymagały olbrzymiej pracy redaktorskiej, edytorskiej, a w końcu – rzecz nie ostatnia – pieniędzy. Lecz przede wszystkim nie miałem przekonania do publikowania cikliwej, sentymentalnej literatury z innej epoki. Obawiałem się krytycznych

ocen, które mogłyby być przykre dla autorki. Dziś te maszynopisy (ładnie oprawione przez panią Irenę u introligatora) patrzą na mnie z regału jak niemy wyrzut. Ale i wspomnienie; przypomnienie pisarki.

Tyle lat się znaliśmy, a tak dużo zostało do załatwienia...

Właśnie dlatego, wracając w 2003 roku z wakacji w Suwałkach, zatrzymaliśmy się z żoną w Ełku. Niestety, mieszkanie na ul. Wojska Polskiego 46/14 (adres znałem na pamięć, wszak zapisałem nim setki kopert) było zamknięte. Sąsiadki sugerowały, że może pani Irena poszła na spacer, może do pobliskiego kościoła; mimo poszukiwań nie udało się jej odnaleźć. Zostałem w drzwiach kartkę. Wkrótce przyszło wyjaśnienie, iż pani Irena była wówczas w szpitalu. A potem nagły październikowy telefon od pani Elżbiety Lenczewskiej...

Moje „pretensje do pana Boga”, jak napisałem we wstępie do pamiętników I. Miształ, biorą się stąd, że poznał nas tak późno. Wszak w województwie suwalskim, w „Krajobrazach”, zjawiłem się w 1980 roku i od tej pory często bywałem w Ełku, gdzie mieszkała, ba, pamiętam nawet regularne odwiedziny w księgarni, nad którą znajdowało się mieszkanie pani Ireny. Ale nasze drogi się nie przecięły. Dopiero wyprowadzka do Białegostoku spowodowała poznanie Ireny Miształ – najpierw listowne, potem osobiste. A wszystko wzięło się z jednego listu i wiersza przysłanego do redakcji nieistniejącej dziś popołudniówki „Kurier Podlaski”. Aż dziw, że tak piękna, subtelna, wręcz idealistyczna postać zaistniała dzięki gazecie typu bulwarowego, choć nie była to bulwarówka w dzisiejszym, brukowym znaczeniu i kształcie. Lecz mniejsza o ten szczegół. Mimo upływu lat wciąż jak dziecko cieszę z odkrycia jednej z najciekawszych, najbardziej fascynujących osobowości, jakie spotkałem w życiu. Również z jej książek, w wydaniu których „maczałem ręce”, ponadto z udanego „wypchnięcia” pisarki z zacisza blokowego M2 w świat literatury.

Teraz bardzo bym chciał, żeby Ełk jej nie zapomnieli! Wystąpiłem oficjalnie z pismem do władz miasta o nadanie jakiejś ulicy imienia Ireny Miształ. Zgłosiłem też dyrektorowi centrum kultury gotowość opracowania regulaminu ogólnopolskiego konkursu na małą formę literacką, konkursu, który nosiłby jej imię i duchowy patronat. Liczę, że to zostanie kiedyś wprowadzone w życie i jestem gotów o to walczyć.

Poprosiłem Elżbietę Lenczewską, przez ostatnie lata i dni opiekunkę Ireny Miształ, o dokładny zapis ostatnich chwil pisarki. Oto on z moim retuszem.

Po przebytych 19 lipca 2003 roku udarze mózgu i pobycie przez 11 dni w szpitalu, próbowałem nakłonić ordynatora oddziału wewnętrznego do położenia Irenki na okres trzech miesięcy na oddziale pielęgnacyjno-opiekuńczym. Obawiałem się bowiem, czy będę w stanie zaopiekować się chorą całodobowo, a takiej opieki już wymagała. Ordynator stanowczo odradził mi, twierdząc, że w tym

wieku człowiek czuje się najlepiej w swoich czterech ścianach, wśród swoich sprzętów, przeżyć, wspomnień. Irenka też nie wyrażała chęci pozostania w szpitalu, chciała wrócić do domu. Tak się stało.

Postanowiłam więc, choć wielu moich znajomych obawiało się i odradzało, opiekować się Irenką, na jak długo mi siły pozwolą. Do pomocy zwerbowałam znajomą, bardzo dobrą, uczciwą, oddaną panią Longiną Stępińską, której córka była przez kilka lat moją uczennicą, a niedawno skończyła studia i jest lekarzem. Obie mieszkamy w blokach obok Irenki, co było dużym ułatwieniem w sprawowaniu opieki. Pani Longina w godz. 5.00-8.00 i 13.00-15.00, ja od 8.00-13.00 i od 15.00 do późnych godzin nocnych, dopóki Irenka dobrze nie zasnęła.

Po powrocie ze szpitala już nigdzie nie wychodziła. Po mieszkaniu poruszała się sama trzymając się mebli. Miała ogromny lęk przed przewróceniem się. Osłabione były też wyraźnie funkcje umysłowe, zwłaszcza pamięć i orientacja; dzień mieszała się z nocą, przeszłość z teraźniejszością. Nadal chętnie przyjmowała gości, ale po krótkiej z nimi rozmowie zasypiała. Ostatnio prawie ciągle spała.

Na dwa tygodnie przed śmiercią odwiedził ją Józef Maskalon z żoną; jej przybrany syn, uczeń tajnej szkółki w Długopolu. Obecnie mieszka w Zabrzcu. Wspomnieniem nie było końca. Pan Józef był synem sołtysa w Długopolu, który pomagał Irence organizować tajną szkołkę podczas okupacji hitlerowskiej. Zginął z rąk Sowietów w nieznanym okolicznościach. Swojego ucznia nazywała „skowronczkiem”, on swoją „ukochaną mamusią”. Tydzień przed śmiercią przyjechał do Irenki Tadeusz Dawidej z Augustowa. Bardzo się lubili, mieli pokrewne poetyckie dusze.

Od października następowało stopniowo większe osłabienie, zmniejszenie apetytu, niechęć do chodzenia, ciągała chęć spania. To ostatnie bardzo mnie niepokoiło. Lekarka przepisała wzmacniające zastrzyki, witaminy. Powiedziała lekarce, że boję się o Irenkę, że mi kiedyś tak zaśnie na zawsze. – To byłaby piękna śmierć – odpowiedziała pani doktor.

I nadszedł ten ostatni dzień – wtorek, 21 października. Wszystko było jak zawsze: poranna toaleta, ubieranie się, ścielenie tapczanu, śniadanie z panią Longiną. Przyszedłam o 8.00, zmieniłam panią Longiną i zostałam z Irenką. Słuchałyśmy radia (telewizji nie oglądała ze względu na słaby wzrok), ale ponieważ zasypiała, próbowałam zainteresować ją, czytając głośno fragmenty opowiadania o ojcu Rafale Kalinowskim z miesięcznika „Arka”. Skupienie uwagi trwało jednak krótko. Znowu spała. Około południa obudziła się i powiedziała: – Wiesz, Elu, ja już chyba będę umierać. Ja na to:

– Irenko, co ty opowiadasz, zjemy dobrą zupkę, ugotowałam taką, jak lubisz. Wstała z tapczanu, usiadła przy stole, spojrzała na talerze i rzekła: – Dłaczego znowu tak mało sobie nalałaś, a mnie tak dużo, nie będziesz miała siły się mną opiekować. Tak jak zawsze była gościnną i myślała o innych. Próbowwała jeść, ale łyżka wymykała się jej z ręki. Nakarmiłam ją. – Dobra zupa – stwierdziła.

cdn.

Natalia Belczenko

Verba

To nie rzeka łaskocze twe gardło
I nie cicho w twych żyłach krew mknie,
To słów dziki korowód co rano,
Nieustannie na herbarium schnie.
A gdy jak wielki nietoperz pełniesz,
Na białej kartce chcąc zmieścić świat,
I wewnętrzne brzemień świadka pragniesz
Zrzucić, po sobie zostawiasz ślad.
Aby kruche, odwieczne verbarium
Niczym ciasto nasaczyło się,
I żeby każda bestia w bestiariu
Bezkarnie mogła odwiedzić cię.

* * *

Kto widział Bruegla nie na papierze –
w żrenicach
Do tej pory ma drobniutkich figurek ślad:
Zastygły w płótnie, jak gdyby specjalnie,
By nowe oczy podążyły tropem ich,
I jak kijanki w krwiobiegach mogły żyć.
A gdy odbiorcę właściwego przyciągnie
Ów zimny magnes — do biegunów spieszenie
Podążą myśliwi, dzieciarnia na łyżwach i kilka
srok.

Tu zauważalnie nudzić się zaczyna
Holendra entuzjasta. I bez wizy
Schengenkiej, małą ptaszynką się staje,
Która niezmiennie, wciąż na płótnie tkwi,
Starając się wylecieć przez prześwit
Pomiędzy pędzlem i pejzażem za oknem.

Cykuta

Cykuto, dziewczynko, chodź prędzej do nas...
W zielone kierpce jak zawsze obuta,
Spoglądasz na wszystko spod długich rzęs,
Pragniemy się poczęstować, Cykuto.
Komu z języka podasz się na język,
Nie spiesząc się, pociągniesz w
nieśmiertelność?
Cykuto, dziewczynko, napełnieni tobą
Śnią uparci znawcy miłości.
Nie pomoże Asklepios, ani Sokrates,
Jeśli wysłałeś sobie list łykami.
Bo jeszcze jeden — ostatni — adresat
Wynurza się z niemej, lustrzanej ramy.

* * *

Na Rejtarskiej 9 – trzy są kruki: trzy.
Przetrzyj powietrze trzylistnym spojrzeniem
ich,

Tak jak *Urbi et Orbi* szkiełko
Niejedno już życie przetarło.
Nawet jeśli samotne twe ciało jest,
A duszę ściga wyznaczony jej czas,
To, co może się w niej narodzić,

Jak czarny ptak cię oswobodzi.
Ten wilgotny, gorzki i szlachetny kształt,
Skupia wszystkie siły, jakie mieć byś chciał,
Lecz tylko jednej się poszczęściło,
I to już jest ostatnia siła.
Ona w próżni zatrzymuje wszelki ruch,
Splukuje nieszczęście i zawiści brud,
Bywa – w nadmiarze się rozplywa,
Lub jak ślimak w skorupie skrywa.
Na Rejtarskiej 9, niepotrzebna biel!
Usta powróciły, z nami wino pij!
Palce dotknęły, więc i ty dostań,
Co otworzyła pierzasta poczta.

Obołoń w latach 70.

Przedostałeś się aż tutaj, na oślepie brniesz,
Choć łydki drżą, zakątek odszukać chcesz:
Męczący połów cudzej przestrzeni.
Szczęśliwy zając skacze na błyszczący lód,
W Dnieprze na Obołoni przynęty jest w bród,
Głupiej ryby w szerokiej toni.
Przycupnąć jak jemiołuszka, na rozgrzewkę
śpiew,
Nierozmienną jarzębinę do syta zjedz.
Na zatwardziałym rzeki całunie,
Utrwalony ludzki i zajęczy ślad,
A kto jeszcze nie oddzielił się od gwiazd,
Ten czeka na ponowne narodzenie.
Przełożyła Paulina Zięba

* * *

A pierwsze czego nauczyć się trzeba –
Iść miastem bezbłędnie, bo jesteś stąd.
Należy mity na zewnątrz wygrzebać
I zaokrąglić bólu każdy kąt,
Ciało rozpuścić ma się w chodzeniu
Jak kwiatek zwiewny, zapomnieć swój wiek.
By w miłość, do teraz ukrytą w cieniu,
Twój dziecięcy obserwator mógł zbiec.
Dzisiaj już grać i udawać nie trzeba,
Przecież jutro nie obudzisz się tu:
Twoje ulice na mapie nieba
Zbiegają się teraz ze wszystkich stron.

* * *

Wierszami po cichu chcę dotykać twarzy –
Nie każdy zrozumie po co i jak.
Czy mógłbyś ze mną przeżyć, o tym marzę,
Do końca, gdy mowa będzie jak znak?
Ogarnie mnie całą, niż powódź pełniejsze
Twoje najpierwsze i Twoje najważniejsze.
Pół wiersza kiedyś mi wystarczało,
Spojrzenia pół – boleśnie i mało.
Gdyby tak jak w twój obiektyw, za przysłone
wspak
Uciec z owej sali od wszystkich miar i wag,
Uciec naprawdę z numer sześć sali,
Byśmy się wreszcie objąć zdołali.

Przełożyła: Paulina Zięba



Ewa Katarzyna Skorupska

Niebo

Przemierzyłam kontynent
samolotem
W Santa Maria
nosiłam sukienkę malowaną
w róże,
wiatr cicho łaskotał kamienie,
morze miało sto niebieskich odcieni,
a nad skałami unosiła się
różowe świtanie
jasne jak brylant
w srebrze,
ale tu
gdzie przybyłam,
we flamandzkiej wiosce,
oglądam szarość,
zupełnie jak siwe włosy
I wędrując myślą
w miejsca mi znane
widzę jedno niebo
w różnych kolorach
światał
bez końca

Widoki

Tak wiele w nas
życia,
a mnie zajmują impresje
tego świata,
obojętne na nas,
na nasze utrapienia,
równie radości
Choć pozostają niejasne,
są zawsze większe
i zawsze nas mieszczą,
wcale nie podzielone
na dobre i złe
Po prostu obecne
za każdym razem,
gdy otwieramy oczy,
znów,
jeszcze raz,
jutro

Dar

Tyle lat
minęło,
a dla mnie dzień
się nie skończył
Czas biegnie
spienioną falą
znów i znów
ku piaskowemu brzegom,
a ja nisko
nad nimi pochylona,
znajduję małe muszle,
które chowam

w kieszeni
na sercu,
pachnące jodem
Znak, że jednak
coś mija,
choć jest zawsze
przy mnie,
dar
szumiącego
morza

Przeznaczenia

Święci mówią
cieszyć się z małych rzeczy
w nich jest Bóg
I chociaż drobiazgi przepadają
w oślepiającym blasku
czasu
życie ma dla nas
mały srebrny dzwoneczek
oczekujący
na drewnianym schłodnym
stole
zawsze gotów
na poruszenie
niewidzialnej dłoni
codziennego przeznaczenia
byśmy znów zostali
wezvani

Spojrzenie

Zdumiewające jest
ogłędanie Ziemi
kiedy dostrzegam słońce
i siebie
istniejące
w jednym momencie
jakby rzeczywistość
była nasza wspólna
Promienie słońca
przenikają
moje źrenice
a ja wędruję z nimi razem
przez wszystkie obrazy
stworzone światłem
w jego niepoliczalności
Widzę pejzaże
i tworzę pejzaże
malując patrzeniem
choć zostały mi tylko objawione
Jak słowo Biblii
zawsze pozostające tajemnicą
ale przez które istnieje wszystko
także ten mój drugi
własny świat
spojrzenia

Metropolie

Nasze miasta
wyglądają jak rozdarte tęcze
z których odpada kolor
wyłamany siłą asfaltu
I jesteśmy w nich zjawą
chmurą

wspólnego błysku w oczach
jak u odchodzących
w umieranie
którzy na końcu czarnej przestrzeni
widzą drobinę jasności
odległą latarnię
dążąc do niej
z konieczności
wciąż jeszcze jednak
życia

Wojciech Kajtoch

Mierzeja (naśladowictwo)

Mierzeja Wiślana [...] Rycerze zakonni wywozili tu ludzi obłąkanych, porzucając ich w lasach Piaski [...] Dawna nazwa czyli Nowa Karczma, pochodzi od istniejącej na tym terenie w średniowieczu karczmy

Krzysztof Szczepanik: „Mierzeja i Zalew Wiślany”

1. Powitanie

Odchodzą zakonni bracia, ich białe płaszcze
wsiąkają we mgłę
A czarne krzyże płaczą z gałęziami
Tu woda miesza się z lasem, las porasta
mchem
Morze przenika jeziorami

Nie połądziłam z wójtem, nazwał mnie
szaloną
I miłość z przekleństwem jednym się stała
więc porzucają mnie na puszczy

Tu miesza się śmierć z życiem,
plaża z sosnami,
a ludzie żyją z wariatami

2. Las

Zza drzew wychodzą czarne chude cienie
Śmiertelnie głodne trzęsą kułakami
I wyją, to wycie od bólu jest gęste
O Boże, zlituj się nad nami

Rzucam się w chaszczkę półsłepa,
gałęzie ranią me ciało
Nie krzyczę, bo przecież jeszcze nic się nie
stało

Biegnać, roztrącam wokół czaszki białe
Nie baczę, kto na drodze staje

Ten las jest gęsty, ciemny, mokry
Zarasta gnijącym krzakiem,
Wyrzywa dziury w sukience.
Z ziemi wyrastają ręce

Szkielety się tulą po krzakach
Miłość tutejsza jest taka

3. Karczma „Na końcu świata”

Gdy tak biegłam po lesie
Płacząc – ale prędko
Jak podwodna gwiazda błysnęło światelko
Jedno jedyne, jedno jedyne
To obietnica jadła za drzewami płynie

Rzucam się - wplaw ku niej brodząc przez
zarośla
Błagam, by mnie trupia fala nie uniosła
I dobijam do sieni jak do morskiej przystani
I dziękuję Bogu, wiem, że będę żyć dalej

Z Miłosza?

*Odpowiedź na pytanie:
Czym są dla mnie planty?*

Planty to Dziadek Eugeniusz
I moje z nim spacer
Gdy karmiliśmy ryby
W sadzawki złotym miodzie
W piętnastą moją wiosnę
Rowerem po nich pędziłem
Pamiętam dziewcząt śmiechy
Gdy przegnął mnie plantowy

A później się zdarzało
Że wina wodospady
Płynęły alejkami
Kołysząc moją głowę
I kobiet słodkie głosy
W półśnie minionym słyszę,
Choć szare drzew kolumny
Kołyszą we mnie ciszę

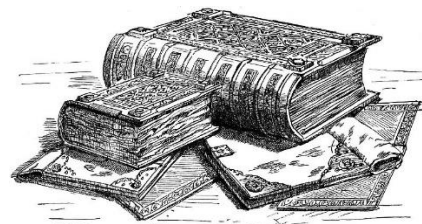
Milczenie wciąż napływa
Muskane konarami
I tylko jesień czarna
Przechadza się plantami

Poświatowska

Czemu stoisz w kuchni ze spuszczoną głową
Czemu masz nogi zrosnięte z podłogą,
Której deski skrzypią. To Twój cały świat.
Jaki z ciebie kwiat?!

Czemu aksamitnie błyszczą twoje płatki
Z miłości? Ze smutku? Ze strachu?

O tak! – jestem zmienna
Wszak jestem dziewczyną
Kochałam
Moje kwiaty nie giną



Dariusz Pawlicki

Widzenia wyobraźni

Od strony bagna porośniętego sosnami zaczęła napływać późnopołudniowa listopadowa mgła. Początkowo miała postać wyłącznie rozciągniętych zwiewnych strzępów. Lecz stopniowo gęstniała i było jej coraz więcej. Mgielna awangarda minęła szpaler brzoź i osik rosnących na skraju bagna. Po czym zaczęła brać w posiadanie niewysokie wzniesienia pokryte łąkami (na jednej z nich pasły się dwa cielaki) i zaoranymi polami.

Widząc ten krajobraz – mało tego: uważnie go lustrując – zadałem bezgłośnie pytanie: Czy można wyobrazić sobie właśnie w tej, tak konkretnej scenerii, Pana, greckiego boga opiekującego się lasami i polami, a także pasterzami i ich stadami? Przedstawiano go jako półczłowieka: twarz, tułów mężczyzny i półzwierzęcia: nogi, rogi, ogon kozła. Jego atrybutem była syringa, nazywany też fletnią Pana. I z tym instrumentem przytkniętym do ust, ujrzałem go wówczas pośród mgieł. To znaczy udzieliłem (sobie) pozytywnej odpowiedzi na wspomniane pytanie. Słyszałem nawet jakąś melodię. Nie wiem wprawdzie jak brzmi syringa, ale do mych uszu dochodziły dźwięki, które zdawały się wydobywać z fujarki. A te są mi dobrze znane. Słuchałem ich bez przekonania i bez zachwytu. Inaczej jednak być nie mogło skoro moją wyobraźnię muzyczną, i to od wielu, wielu lat, wypełnia muzyka baroku (oczywiście nie wszelka) z bogactwem dźwięków pochodzących z wielu instrumentów.

Pan swym krzykiem, a także samym ukazaniem się, miał wywoływać pośród ludzi paniczny lęk (określenie pochodzące od jego imienia). Mnie jednak nie przeraził. Może był świadom tego, że to ja stoję za jego pojawieniem się w tym konkretnym miejscu. I chciał, żeby to „zjawienie się” nie było ledwie chwilą...

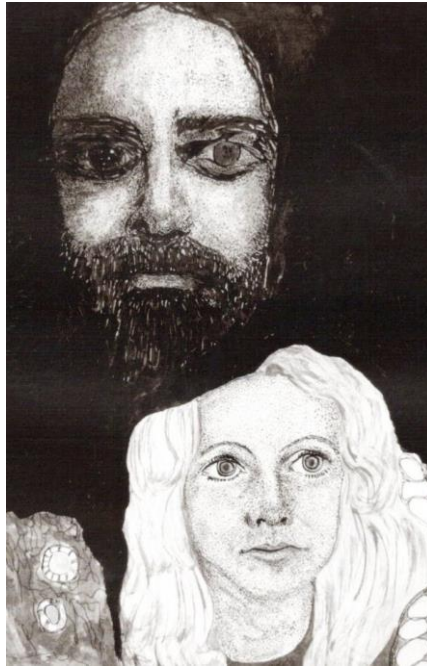
Do towarzystwa Panu dodałem – można to nazwać „dowyobrażeniem” – orszak nimf; początkowo czterech, ale bardzo szybko „wyczarowałem” kolejne cztery.

To moje widzenie nie trwało jednak długo. Kilkakrotnie zresztą traciło na wyrazistości. I to nie tylko za sprawą mgły, lecz również zmieniającej się intensywności wyobrażenia będącego jego źródłem. Aż w końcu, tych dziewięć postaci zaczęło powoli znikać, jedna po drugiej, z obserwowanej przeze mnie szerokiej sceny. Ostatnią był Pan. Najpewniej powróciły one do odległego w czasie i przestrzeni (przede wszystkim tego pierwszego) świata antycznych greckich wyobrażeń o świecie, jak też do greckich krajobrazów. A te drugie nijak mają się do polodowcowego krajobrazu współczesnej północnej Suwalszczyzny, jaki mnie otaczał. Do tego klimat, z jakim ma się do czynienia tu, na północy nie przypomina tego z Grecji kontynentalnej i z greckich wysp. To te „niepodobności” uniemożliwiły mojej wyobraźni snucie kolejnych

sekwencji opowieści mającej za bohaterów wspomniane postacie (możliwości wytworzenia kolejnych nie mogę wykluczyć). W związku ze wspomnianymi brakami, moja wyobraźnia najpewniej czerpała swą podbudowę z materiału ikonograficznego, z którym miałem wcześniej kontakt: ilustrującego teksty o tematyce greckiej, szczególnie tej dotyczącej antyczności. Miała również oparcie w obrazach olejnych – zwłaszcza tych powstałych w dobie baroku – o tematach zaczerpniętych z historii Grecji i greckiej mitologii.

* * *

W dniu następnym, około południa, wracałem z ostępu leśnego o nazwie Przewroć. Tknięty jakimś impulsem zboczyłem nieco z drogi. I zszedłem na południowy brzeg jeziora Pogorzelec. Zatrzymałem się. Z nadjeziornych olch i sosen skapywały krople deszczu, który niedawno przestał padać.



Rys. Stefan Rusin

Przyglądałem się idealnie gładkiej tafli jeziornej obwiedzonej, na prawie całej linii brzegowej, szerszym bądź węższym, pasem trzciny. O tej porze roku w znacznym już stopniu zszarzały. A patrząc na te rosnące w zasięgu mych rąk, kątem oka zobaczyłem, na prawo ode mnie, pochyłą sosnę. I zerkając wielokrotnie, raz na trzciny, raz na owo drzewo, ni z tego, ni z owego pomyślałem o... Marsjaszu (Marsjasie), satyrze (istnieją źródła mówiące, że był sylenem). Zaszłył on jako mistrz gry na aulosie (instrument muzyczny z grupy aerofonów stroikowych).

Według niektórych podań był nawet jego wynalazcą.

Marsjasz tak bardzo wierzył w swoje wyjątkowe zdolności wykonawcze – pewnie dała o sobie znać i próżność – że rzucił wyzwanie mistrzowi gry na kitarze (rodzaj liry). A był nim sam Apollo. Ów bóg przyjął wyzwanie, ale pod jednym warunkiem: zwycięzca zrobi z pokonanym, co będzie chciał. Pojedynek muzyczny odbył się na górze o nazwie Nysa. Góra o tej nazwie, w mitologii Greków umiejscawiana była w wielu miejscach znanego im świata (niejednokrotnie, także tych znanych im tylko ze słyszenia). Jednym z nich była Lidia położona w zachodniej części Azji Mniejszej. W tej to krainie płynie rzeka Marsjas, o której będzie mowa w dalszej części niniejszego szkicu. Więc to może właśnie tam Marsjasz zmierzył się z Apollem. Gdyby wiedział...

Jurorami byli miejscowi pasterze. Po zaprezentowaniu muzycznych zdolności przez obu rywali został wydany werdykt: arbitrzy, choć nie bez wahania, jako zwycięzcę wskazali Apolla. A ten niezwłocznie skrępował Marsjaszowi ręce i nogi. Po czym przywiązał go do sosny – niektóre źródła podają, że do platana – i zaczął powoli uśmiercać – obdzierając ze skóry.

Gdy myślałem o czynie boga nie słyszałem już kapania kropel z igieł i nielicznych liści, ale przeraźliwe wycie – bo to nie mógł być krzyk – tylko i wyłącznie wycie z bólu.

Słyszał je Apollo. Nie mógł przecież nie słyszeć, jako że słuch miał doskonały. Tylko psychopata był w stanie to znieść i... ten właśnie bóg. Wycie Marsjasza, pozbawianego powoli i w okrutny sposób życia, nie przeszkadzało mu więc w żaden sposób. Może nawet upajał się tym, że jest jego sprawcą; że może nawet... regulować głośność i natężenie owego wycia. Tego nie można wykluczyć. Był bowiem bogiem nie tylko piękna, światła, życia, prawdy, prawa; patronem poezji i sztuki, ale także bogiem śmierci, któremu to tego nie była obca mściwość, zawiść i okrucieństwo. Tego ostatniego doświadczył – i to dosłownie całym sobą – właśnie Marsjasz. Ale nie on jeden był ofiarą boga uważanego za najpiękniejszego spośród bogów olimpijskich. Innymi było np. sześciu synów Niobe, których zabił z łuku – jego siostra bliźniacza Artemida (i jej okrucieństwo nie było obce), w ten sam sposób pozbawiła życia 6 córek owej królowej Teb. Rodzeństwo, jakoby, pozostawiło przy życiu jednego syna i jedną córkę. Według najbardziej rozpowszechnionej wersji tego mitu, Niobe miała bowiem czternaścioro dzieci, nazywanych Niobidami. Chełpiła się tym, uważała, że jako matka sprawdziła się o wiele lepiej niż bogini Leta. Ta bowiem urodziła tylko dwójkę dzieci; właśnie Artemidę i Apolla. I to one postanowiły pomścić matkę (istnieje

wersja mówiąca, że dokonały tego wielokrotnego mordu na prośbę/życzenie urażonej rodzicielki). Może to być uznane – ale nie przeze mnie – jako okoliczność łagodząca przy formułowaniu ewentualnego „wyroku”.

Dopiero, gdy śladami po mistrzu gry na aulosie stały się: zakrwawiona skóra i pozbawiony jej trup, Apollo ochłonął (czy wcześniej był w stanie amoku?). I wtedy pożałował tego, co uczynił. Dopiero wtedy...

Chcąc jakoś naprawić swój straszny czyn – najpewniej dały o sobie znać wyrzuty sumienia (boskiego) – przywołał do życia Marsjasza w postaci rzeki Marsjas, będącej dopływem Meandra płynącego w zachodniej części Azji Mniejszej. Ów dopływ upamiętniający umuzykalnionego satyra ma swe źródła w grocie. W tej samej, w której Apollo rozwiesił skórę pokonanego – na polu sztuki – i zamordowanego przez siebie, w bestialski sposób, Marsjasza.

Przegraną Marsjasza interpretowano, po pierwsze, jako dosyć oczywiste ostrzeżenie dla tych, którzy w przyszłości mieliby zamiar rzucić wyzwanie któremuś z bogów; po drugie, miała ona być wyrazem / przejawem wyższości muzyki helleńskiej wykonywanej na instrumentach strunowych (np. kitarze), nad muzyką frygijską charakteryzującą się grą na instrumentach dętych (w tym aulosie). A mówiąc ogólniej – wyższości kultury greckiej nad kulturami wschodnimi.

W drugim z wymagowanych przypadków, tym dotyczącym Apolla i Marsjasza, okazało się, że sceneria w swej, że tak to określe, ogólności – również przeciwieństwo inna od greckiej – tym razem, mimo wszystko nie okazała się przeszkodą w wyobrazeniu sobie przeze mnie kaźni satyra. I to z najdrobniejszych okrutnymi szczegółami. Biorę pod uwagę jednak to, że wspomogło ją patrzenie na trzciny pospolite, czyli ten sam gatunek, który rośnie na Bałkanach. Rzecz bowiem w tym, że aulos był instrumentem wykonywanym najczęściej właśnie z łodygi tej rośliny (czasem z drewna, kości lub kości słoniowej). Do tego jeszcze ta sosna... Wprawdzie zwyczajna, a nie czarna, która występuje m. in. w Grecji, ale jednak sosna. (Płatany na Suwalszczyźnie nie rosną nawet w parkach, więc drzewa tego gatunku nie brałem w ogóle pod uwagę).

Wyrazistości w widzeniu tych przywołanych detali związanych z Marsjaszem, towarzyszyło narastające współczucie i żal. Zresztą te uczucia pozostały we mnie, na pewnym poziomie, gdy już w myślach mych rozegrała się / wydźwięczała ostatnia scena z tej – jakoby – mitologicznej opowieści. Przeżytej przeze mnie jednak bardzo głęboko. Traktowałem i traktuję ją bowiem jako z życia, ludzkiego życia, wziętą. Nie tylko dlatego, że w każdym micie jest ziarno prawdy. A i ziarna są różnej wielkości.

Ósmy dzień Adrianny Jarosz

(Dokończenie ze strony 4)

No cóż. Wszyscy nie przetrwamy. Zachowajmy zatem swoje człowieczeństwo.

Emigrujemy wewnątrz (i zewnątrz) wobec *poezjospujów* i sitw językowych. Róbmy swoje. Zachwycajmy się dla przykładu: Adrianną Jarosz, Joanną Nowocień, Magdaleną Poczaj czy Anną Nasiłowską, a nie poetkami, którymi nam się każą zachwycać różne dziwne gremia w tym kraju. Słowacki wielkim poetą był, to wiemy. Nasza gombrowiczowska rzeczywistość jak wiemy jest wiecznie żywa i doskonale prosperuje wśród skarłatej krytyki literackiej i pozostanie taką na tej pustyni książkowych dziejów z wiadomych już względów. Trudno. Zachwyć się można jednak tym, co zachwyca naprawdę. Sztuka to wolność i nikt nam jej nie odbierze.

O takiej wolności pisze też i Adrianna Jarosz, której sylwetkę chciałem tu nieco przybliżyć, bo warto. Szukajmy zatem ocalenia swego człowieczeństwa, słów prawdy i piękna metafor, a nie poezji sztucznej od imitacji, a taką jawi się często poezja zamieszana nagradzana, której dla wyrównania samopoczucia również nikt nie czyta oprócz kilku mało istotnych statystycznie maniaków jak niżej podpisany

Niskie ukłony dla wszystkich, pięknych i bogatych, jak też tych ukrytych i przemilczanych, ale zwłaszcza dla wszystkich poetek i poetów, którym zawsze „nie po drodze”...

Andrzej Walter



Krawiec snów
Adriana Jarosz

Adrianna Jarosz, *Krawiec snów*. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2021, s. 96.

Słowo o prozie Zbigniewa Niedźwieckiego

Aby zrozumieć fenomen prozatorski (powieści, opowiadania) **Zbigniewa Niedźwieckiego Ravicza**, sięgnąć trzeba do lektur i pisarzy, którzy go ukształtowali. Tu bez wątpienia ogromny wpływ mieli przedstawiciele „złoty chłiw” – przełom XIX i XX wieku – polskiej beletrystyki: Sienkiewicz – powieść historyczna, Reymont – realizm, ale przede wszystkim Bolesław Prus z jego literaturą współczesną (*Lalka*) i nowelisticzną pełną psychologii, szczegółów i humoru codzienności... dla nas już tamtych czasów. Ale Raviczowi doskonale znana jest literatura zachodu, jak i klasycy rosyjscy. Na półkach jego biblioteki znajdują się filozofowie, przecież nie po to, by zbierać kurz.

Debiutował (2004) powieścią społeczno-obyczajową *Grzech przemilczenia*. Następnie spod jego pióra wyszedł zbiór satyrycznych opowiadań pt. *Przypadki małżeńskie*. Na kanwie własnej sztuki teatralnej o Daisy von Pless napisał w przeciągu kilku lat trzytomową powieść biograficzną *Daisy. Błękitna tożsamość*. W międzyczasie stworzył wiele przedstawień dla dzieci i młodzieży. Ja studiuję po raz kolejny *Scenki z życia we dwoje*, z dedykacją: „Violi i Jurkowi! Zbyszek N. Ravicz, Łosiów 7.05.22”, o której dr Alina Bernadetta Jagiełłowicz w postawieniu napisała „(...) drobiazgowo, wręcz z anatomiczną precyzją, pedantycznie, Zbigniew Niedźwiecki Ravicz bada psychikę w różnych stanach rozchybotania, rozhuśtania emocji, balansu uczuć. Rozbiera, niczym cebulkę z kolejnych warstw, dochodząc do samego jądra sprawy. I raczej pozostawia z tą wiedzą Czytelnika – nie potępia, ani też nie usprawiedliwia, nie zajmuje stanowiska w kwestiach spornych etycznie, nie opowiada się po stronie męskiej solidarności i szowinizmu, ani też nie jest przeciw niej. A do feministycznych ideałów odnosi się z równie podziwu godną neutralnością. Innymi słowy mówiąc, nie wdając się w moralne sądy i oceny, i dystansując się „do” i „od”, pozostawia Czytelnikowi białe pola do wypienienia kolorami uczuć – to on winien być tutaj współkreatorem: dopowiedzieć to, co naprawdę piszczy w zakamarkach jego duszy, rozpoznać w scenkach własne emocje i dokonać wiwiskcji umysłu, by następnie móc przejść do następnego etapu w życiu, do transformacji na wyższym poziomie osobistego rozwoju. (...) bowiem chcemy zgłębić, jak faktycznie rzeczy się mają z człowiekiem, jaka jest jego natura w kwestiach damsko-męskich i nie tylko! W moim przekonaniu, nic bardziej nie przybliży nam problemu istoty tego, kim sami jesteśmy – czym powinniśmy być zainteresowani najbardziej – jak

(Dokończenie na stronie 10)

Słowo o prozie Zbigniewa Niedźwieckiego

(Dokończenie ze strony 9)

obraz ludzkiej psychiki uczciwie, z wielką wyrazistością i starannością namalowany. A właśnie taki jest ten niezwykły zbiór opowiadań.

Groteska, ironia, humor, karykatura, przerysowanie, parodia, pastisz, satyra, pamflet... i: unosząca się ponad nimi chmurka refleksji – tym wszystkim są *Scenki z życia we dwoje*. Autor w sobie właściwy sposób, posługując się często ostrym jak brzytwa, sięgającym głęboko, przenikliwym językiem (a nie rzadko i neologizmami powołanymi przez Niego na użytek tego zbioru), zrywa wszelkie maski, kostiumy, przebrania. Pisze o pruderii, rozpuście, niepowściągliwości, nieumiarkowaniu, niepohamowaniu, zakłamaniu, obłudzie, załganii, hipokryzji, dwulicowości, nieszczerości, zawiści etc. Obnaża nagą prawdę o człowieczym życiu, z jakim się stykamy i jakie często jest również naszym udziałem, choć nie lubimy się do tego przyznawać ani przed sobą, ani – tym bardziej – przed innymi”. Stąd to wielkie zainteresowanie „poławiaczy twórczości” opowiadaniem Niedźwieckiego. Czytają w nich i rozważają nie tylko to, co Ravicz napisał, ale dlatego, że Ravicz to napisał!

Przy pracy – „Historia tego zbioru jest zawiła, wydaje mi się nawet, że bardziej, niż którejkolwiek z wcześniejszych moich książek” [od autora] – Ravicz miał: wielkomiejskie, małomiasteczkowe, sanatoryjno-kudowsko-polanickie realia pod ręką. Studiował je żyjąc tu i ówdzie. Objazdowe stoisko z książkami, wielokrotnie spotykałem pisarza – w czas własnych wojaży – sprzedającego swe książki, schodzące jak świeże bułeczki. Płec piękna po dedykację parła na autora, twardą, dużą pierś... aż się bałem, że go zadepcze. A to przecież nie ułomek. Nierzadkie spotkania autorskie w pijalniach wód leczniczych, domach kultury, saloniku literackim „Różanego dworu” pełnego oryginałów i niekończącego się monologu właścicielki. – To dopiero materia na powieść rzekę... z wodospadem... i częste wylewy. Jak już wielokrotnie pisałem – dla wtajemniczonych – od pół wieku... osiemnaściolatka! Nocując w drogich pensjonatach, przygodnych hotelach, bursach, izbach „cichego” snu. Gdzie jego oczy widziały niejedno, słyszał opowieści zapierające dech w piersiach, wręcz nieprawdopodobne, a prawdziwe. Sam wiele przeżył, lecz Afrodyta jest dyskretna. Uczestniczył kiedyś w mojej „Bitwie w tle”, ma się rozumieć jako gość honorowy. Obserwując zmagania wrogich stron rzekł: – Markietanki muszą mieć ogień w sobie, inaczej wiarusowi muszkiet by nie wypalił.

Zbigniew Niedźwiecki Ravicz w powieściach, opowiadaniach, dramatach daje rozległe malowidła, portrety, szkice albo humo-

rystyczne trawesty większości środowisk ludzkich. Od wiktoriańskiego dworu pełnego arystokratów, mężów stanu, władców po hinduskich niewolników i współczesnych nędzary intelektualnych z dużym kontem bankowym, chciwością na życie. Na kartach książek przewijają się ludzie „wolni” mieszkańcy piwnic, studzienek ciepłowniczych, zaczytani – dziesiątki tomów – w literaturze pozostawionej przy zsykach. Konsumujący wiktuały z kułbów na odpadki. Patrzący w niebo – o dziwo – radośnie.

Niedźwiecki stworzył imponującą galerię typów o najrozmaitszych losach i charakterach. Typów pełnych zawsze tej przekonującej prawdy, która budzi zazdrość piszących i podziw czytelnika: „jak ten Ravicz zna życie i ludzi”. Rozmawiając z nim wielokrotnie – przy szklaneczce dobrego trunku – czułem w tych snuty przez niego opowieściach, że nie jest on biernym – oddalonym narratorem. On znajduje się „we mgle” centrum wydarzeń. Dbą, aby linia jego opisu wiodła dokładnie poprzez „fakty” dobrze mu znane – powiedzmy punkty trasy. A krzywa prawdopodobieństwa – kreślona przez pisarza – przecinała wszystkie okoliczności i zdarzenia. Podkreślał, miejscem, wokół którego zaczyna się krystalizować i rozwijać kompozycja utworu jest własne przeżycie, zasłyszana opowieść, niecodzienne publiczne wydarzenie, przypadkowy drobniaczek. Albo jak u Prusa opis procesu o lalkę w Brnie Morawskim na łamach „Gazety Polskiej” w 1887 roku. Dodam z własnego, bibliofilskiego doświadczenia, że tym, co zdobywa czytelnika najbardziej jest uczuciowość ludzkich przeżyć – Ravicz jest tu mistrzem. W szerokim wachlarzu mieści płomień ekscytacji w ludziach i historiach fascynujących wyobraźnię i serce czytelnika. Zaczyn naszych – tak myślę – pierwszych sądów moralnych. Zadumy – jak żyć? „osiąga się ten efekt – rzecz prosta i dawno wiadoma (potwierdza Maria Dąbrowska) – przez umiejętność stwarzania postaci bezwarunkowo żywych, prawdziwych psychologicznie i w słowach, i w myślach, i w uczynkach”.

Nie jest łatwo odnieść się u Niedźwieckiego do jednego utworu. Musi być brany pod uwagę cały jego dotychczasowy dorobek literacki. Ściśle ze sobą powiązany w warstwie społeczno-obyczajowej, mimo czasem „satyrycznego”, bądź historycznego kostiumu. Tak czuję. Niech poparciem mojej tezy będą słowa autorki *Nocy i dni*: „Wielkim pisarzem zostaje się dlatego, że ma się zdolność dobywania typowych, istotnych i artystycznie wartościowych tematów z jakiegokolwiek szczegółu rzeczywistości, który przejdzie przez oczy, uszy czy osobiste doświadczenie życia”.

Jerzy Stasiewicz

Zbigniew Niedźwiecki Ravicz, *Scenki z życia we dwoje*. Korekta: Alina Jagiełłowicz, Barbara Ciborska. Okładka: Wojciech Jaruszewski. Fotografia autora: Kamila Żółkiewicz. Wydawnictwo Kaliny, Wrocław 2021, s. 248.

Po trzykroć mgnienie

We wrześniu 2023 roku ukazała się książka **Zofii Sofim Mikuły** „Po trzykroć mgnienie”. Niewielki tomik zawiera wielki багаż doświadczeń, refleksji i wspomnień z trudnego czasu powypadkowego pobytu autorki w szpitalu.

Idąc na ten wieczór autorski nie wiedziałam, jaka jest inspiracja wierszy Zofii Sofim Mikuły. Poznając genezę powstania tomiku – poruszył mnie ten temat i zawodowo, i jako osoby po przebytych przed laty wypadku. Nawet po wielu latach, takie traumatyczne przeżycia nie znikają w odmętach pamięci. Wiem, że ważne jest to wypowiedzieć.

Każde słowo w tym zbiorze jest śladem po tym, co się wydarzyło. Wiersze są lustrem rzeczywistości, której doświadczyła autorka. Doświadczyła boleśnie, uczestnicząc w wypadku autokaru, a potem przebywając w szpitalu, z daleka od domu.

W wierszu **Powidoki** – Zofia Sofim pisze: *Teraz jest ten moment. / To jest ta chwila. / Mgnienie!*

Nasze życie składa się z chwil, przeżyć, mgnień. Nie zdajemy sobie często sprawy, jak takie pozornie mało ważne mgnienie, może stać się punktem zwrotnym w życiu – a nawet jak pokazuje autorka – w twórczości.

W kolejnym wierszu czytamy: *Dalsza droga już nigdy nie będzie taka sama...*

Kiedy stajemy naprzeciwko osoby doświadczonej przez los, ból, chorobę – nie da się wobec tego być obojętnym. A jednocześnie czytając wiersze przepełnione bólem – od fizycznego – do dużo bardziej dotkliwszego cierpienia – które powoduje szpital, a którym są tęsknota za bliskimi, bezdusność personelu szpitala – ma się silne wrażenie uczestniczenia w czymś niezwykłym. Autorka umiała pokazać, z całą mocą wierszy, jakim cudem jest życie. Uświadamiała nam, jak każde przeżycie zostawia w nas ślad, głęboki, na długo. Zofia Sofim pięknie pisze o tym, co nawet pozornie wydaje się szare i nieciekawe. Wrażliwość autorki pozwala nazwać wiele emocji, które takie doświadczenia wywołują. Życie nagle zatrzymane, jakby wypadło z utartych, stałych dróg – gdzieś na zakręcie drogi – nagle rysuje zupełnie inny scenariusz, niechciany – zakleszcza autorkę w łóżku szpitalnym – w bolesnej bańce bólu i tęsknoty. Bezdzuszny personel, niestety często wciąż obecny w szpitalach, z nieczynnymi dzwonekami przy łóżkach tworzy dla chorego kolejną barierę i potęgę bolesne oddalenie od świata. Na szczęście autorka wierszy miała pomoc i wsparcie synów, ale przecież nie każdy ze szpitalnych pacjentów ma takie szczęście.

Zofia Sofim uświadamia nam, jak wiele poezji można odnaleźć w takim mgnieniu. Chwila, refleksja, wiersz... Nawet trudne i wstydlive korzystanie ze szpitalnych basenów może zakwitnąć wierszem „Szpitalne Kariby”. Uśmiechając się smutno do tego wiersza, pomyślałam: jaka szkoda, że nie znałam

go, gdy sama musiałam korzystać z basenu...

Te opowieści i wierszy słowa budziły wspomnienia moich przeżyć powypadkowych, a jednocześnie tkwały nić współodczuwania. Zrozumiałam, jak ważne jest, by mówić o takich sprawach, przeżyciach i jak pięknie mówi wierszem właśnie Zofia Sofim Mikuła. To nie są lamente i pretensje. To poezja refleksyjna, ulotna, ale trafiająca w serce. Z jednej strony – daje każdemu swego rodzaju cudowny balsam na własne codzienne rany, pokazuje czyjeś doświadczenie – które de facto jest doświadczeniem uniwersalnym. Możemy odnaleźć swoje uczucia, docenić to, co mamy na co dzień, jeśli udaje nam się żyć bez chorób i bólu. A z drugiej strony może obudzi czyjąś wrażliwość, pobudzi do refleksji, pokaże proste potrzeby cierpiącego człowieka.

Był moment, kiedy dziękowałam autorce za ten wiersz... *Najokrutniejszy miesiąc to sierpień, / gdy zapach pełni lata wdziera się przez szpitalne okno.*



Dla mnie to był maj... Zresztą w każdym wierszu można znaleźć dla siebie coś ważnego, co porusza głęboko – *dziewczyno, w jednej chwili stała się kobietą z wypadku...*

Albo wiersz przejmująco zatytułowany *Bezczulość: Tylko kule w kąciku znają ciepło dłoni. / Nogi obolałe nie poskromią schodów, / kładą się do łóżka obok samotności.*

Rozumiem to doskonale, samotność – zwłaszcza nocą, boli bardziej niż ból fizyczny. *Noc bez prawdopodobieństwa dnia / Nocą szpitalne ściany węższą...* Pod koniec tomiku czytałem w wierszu: *A jednak wszystko jest po coś.*

Zawsze też tak uważałam. Po wypadku – poza bólem i buntem – próbowałam odszukać treść lekcji życia, jaką otrzymałam. Potem nic już nie było takie samo.

Mam nadzieję, że jeśli książka trafi do osób pracujących w służbie zdrowia, pomoże przemysleć wiele spraw i zmieni postrzeganie personelu, że tam – po drugiej stronie szklanej szyby jest człowiek. Człowiek, który cierpi,

tręskni, potrzebuje być wysłuchanym. Pożornie to wcale nie tak dużo. A jak wiele! Pociężyć chorego – *A potrzymać za rękę...* Na spotkaniu promującym książkę „Po trzykroć mgnienie” pomyślałam, że jeśli wszystko jest po coś, to ten tomik pokazuje to zdecydowanie – Zofia Sofim dzięki tym bolesnym doświadczeniom podarowała światu wiersze.

Marek Wawrzkiwicz w postłowie do książki napisał: „Zofia Sofim Mikuła przeżyła wypadek. I – jak wynika z książki – on się jej opłacił”. A ja dodam, że najbardziej opłaciło się to nam, czytelnikom. Dostaliśmy wiersze głęboko poruszające. Ten tomik jest mgnieniem bardzo osobistych przeżyć – ale bardzo ważnych i uniwersalnych w swojej wymowie. Poetka odśloniła swój ból i swoją intymność, by dać nam wszystkim do myślenia.

Wiersze to tylko jedna z linii pęknięć. Pokłosie wszystkich rys / wiszących u powały zdarzeń, long, long w pamięci.

Te wiersze to nie linia pęknięć, ale słowa, które sklejają moje rany, nazywając, to co ulotne.

Katarzyna Wierzbicka

Zofia Sofim Mikuła, *Po trzykroć mgnienie*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Maria Kuczara. Fotografia na okładce: Scena ze Ślepców Teatru KTO w Krakowie. Portret autorki na okładce: GENO Małkowski. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2023, s. 52.



Że jak? Że tak...

Przesyłka nie była zaskoczeniem.

Wcześniej był telefon z podziękowaniem za publikację internetową treści książki i, tradycyjnie, garść zdań o tym, jak leci, same grzeczności.

Nic nowego. Od zawsze nasze relacje były szczere, życzliwe, przepełnione ufnością i wzajemnym zrozumieniem istoty poruszanych spraw.

Bo, okazuje się, że przyjaźń, serdeczność i zupełny brak zazdrości u artystów tej samej dziedziny sztuki są możliwe i naturalne.

Subtelna i miła dedykacja Autorki zachęciła do natychmiastowego, acz pobieżnego „przewietrzenia stron” i... powrotu do codziennych, zaplanowanych czynności. Wierszem „Misja” została poddana pierwszemu dogłębniemu odczytaniu. Poranek następnego dnia zażądał „doczytania” tych fragmentów, które – chyba umknąwszy uwadze – nie utwierdziły o swej niezbędności. W kolejnym wieczór – na szczęście wieczorów mam dostatek – przeczytałem „Misję” powtórnie.

Odębne opowiadania zasygnalizowały spójność; samouwikłanie bohaterów w los nie swój, a jednak żyjący i żywiący się – dosłownie – otwartością i naiwnością nadwrażliwych (no, może najzwyczajniej wrażliwych).

I co z tego?

Jestem facetem – Autorka kobietą. Czy muszę wymięknąć, bo „babski świat”, literacki też, jest „jakiś taki inny”? Nie muszę!

Odłożyłem książeczkę. Musi swoje odleżeć. Odleżała.

Przypomniałem sobie, że jest jeszcze (wtężyć?) o Staszku. Aha, sprawdzimy czy dał się wpleść w opowieści o samouwikłaniu.

Mając na uwadze poezję Stanisława i moje poetyckie tropy, dał się. Ta sztuka (poetycka) wypaczająca – proszę o wyrozumiałość – męską hardość i pewność siebie, prowadzi, wespół z przypisanym jej nadnormalnym i nadnormalnym odczytywaniem rzeczywistości, do określonych, nieakceptowalnych, choć tolerowalnych skrzywień.

Poniosło i mnie – właśnie sobie to uświadomiłem – ku uwikłaniu?

O możliwych tego skutkach nie napomknę ani słowem.

A wnioski?

Są. Oczywiście i bezsporne. Irena Nyczaj znakomicie prowadzi czytającego w rewiry swojej wrażliwości. Nie oczekując na dłuższą bytność w jej percepcji wie, ma taką pewność, że czytelnik wróci do lektury i rozważy „czy warto było” z tą książką się – wewnątrz – droczyć.

A teraz puenta: a o czym te opowiadania? Tak w ogóle.

O ludzkich przypadłościach.

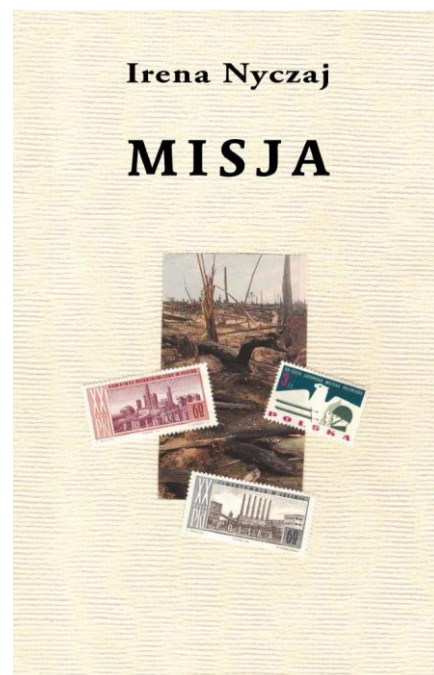
Mało to nam swoich?

A mało!

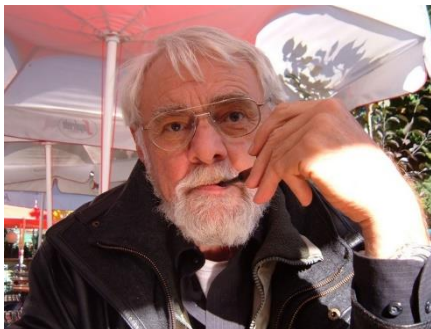
Znaczy się, warto przeczytać?

Warto!

Kazimierz Kochański



Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Misja Jacka Kaczmarskiego

W Instytucie Literackim w Paryżu w roku 1983 ukazała się rozmiarowo mała książeczka (dla lepszego przetrwania do Polski) wierszy oraz piosenek Jacka Kaczmarskiego pod takim właśnie tytułem, jako fenomenu tak autorskiego, jak i wykonawczego tego barda. Trzeba zaznaczyć, iż niniejsza pozycja ukazała się dzięki pomocy redakcji „Poglądu”.

Kazimierz Iwosse

Jak ogromne miał powodzenie nie trzeba przedstawiać na to dowodów, jedno wyznaczenie anonimowego więźnia PRL: „Przekonałem się o tym naprawdę i do końca w obozie internowanych w DarłóWKu”. Myślę, że inni internowani we wszystkich tego rodzaju obozach mogliby to też i potwierdzić, choćby pierwsza z brzegu piosenka „Mury”, która stała się protest-songiem, bijąc popularnością tylko pieśń kościelną „Boże coś Polskę”... Ona wówczas stała się „drugim hymnem narodowym”. Jak zauważają redaktorzy publikacji, protest-songi śpiewano podczas głodówek, transportów, odmowy widzeń z rodzinami i w ogóle we wszystkich możliwych sytuacjach konfliktowych między internowanymi a służbą więzienną. Refren tej piosenki był tuż przed stanem wojennym sygnałem Radia „Solidarność”. „Mury” to pieśń o wolności jednostki, o jej zagrożeniach i o tym, że każda rewolucja „na pewnym etapie zwraca się przeciwko swoim bardom”. Dla „Solidarności” sygnałem wiary była zwrotka: „Wyrwij murom zęby krat. Zerwij kajdany, połam bat! A mury runa, runa, runa i pogrzebią stary świat”.

Wszyscy potrzebowaliśmy wówczas wiary i nadziei. Byłem akredytowany na I i II turze Zjazdu Solidarności w Gdańsku w hali „Olivia” i nigdy nie zapomnę zorganizowanego dla uczestników Zjazdu w Sopocie Koncertu Zakazanej Piosenki, gdzie obok Jacka Kaczmarskiego wystąpiło kilkunastu innych bardów piosenki zakazanej. To oni jednoczyli

pokolenia Polaków i warto zaznaczyć, że zobili to w sercach i w świadomości ludzkiej, pozostawiając ślad na długie lata. Po prostu ci bardowie, a było ich wielu obok Kaczmarskiego, którzy wówczas na długi okres czasu stali się wyrazicielami treści, którymi żyliśmy jako naród.

Kaczmarski często występował na imprezach organizowanych oficjalnie i nieoficjalnie przez opozycję demokratyczną. Często nie był dopuszczany ze względu na treść swoich piosenek – tak w radio, jak i w telewizji.

Doceniłmy znaczenie i wagę tych jego tekstów i ten fenomen jego twórczości, jak żadnego innego piosenkarza, autora wojujących tekstów i kompozytora. Jeżeli mówimy o karierze, to nade wszystko zrobił tę karierę w sercach i w świadomości ludzkiej. Jako prawdziwy idol pokolenia, po prostu był wyrazicielem treści, którymi żył naród w tym całym swoim przekroju. Kto z nas nie pamięta jego wczesnej działalności, kiedy śpiewał teksty Włodzimierza Wysockiego, słynną „Obławę” czy „Przedszkole”.



Fot. Izabella Pinno

Polska księgarnia w Paryżu

Był niewątpliwie bardzo uwrażliwiony na tę naszą historię. W jego piosenkach jest głęboka refleksja historyzoficzna i gorzki dramatyzm tego niespotykanego ruchu jakim była nasza „Solidarność”. Ogromna jest biografia artystyczna Kaczmarskiego i trudno ją pomieścić w jednym tekście publicystycznym. Stan wojenny zastał go we Francji, gdzie był na tournée, gdzie nagle dotknęła go bezpośrednia historia, o której śpiewał i to był dla niego niewątpliwie wstrząs i osobisty dramat. Dla mnie osobiście cenne wydają się w jego twórczości – wiara w uniwersalne wartości chrześcijańskie i owa pamięć narodowa, która scala się w ludzkiej godności, jakże ważnej właśnie może teraz, dziś...

Janusz Orlikowski

Nowy wiersz

tak to jest zupełnie nowy wiersz
palmy oazy w górach Atlas
zielenią się na ich rdzawym tle

tak i taki wiersz jest możliwy
inne palmy zaglądają do okna
kusząc dojrzałością daktyli

przy wejściu oliwkowe drzewo
nieopodal szum ciepła morza
miałki piasek plaży niczym
jego sól

taki wiersz jest możliwy
niczym wschód słońca na Saharze
w karawanie wielbłądów
albo nad morzem

tak to jest zupełnie nowy wiersz
gdzie czas nie ma znaczenia a śmierć
na noszach przykryta zwykłą płachtą
wygląda również godnie

w świetle ciepła i prawd słońca
wydaje się mniej dotkliwa
to czas który z nim przegrywa
zapewnia Tunezji wieczny uśmiech

Wczoraj

gdy nie jest niewinnym wspomnieniem
a dręczącym nas dziś upiornym faktem
lub co by było... było to jedyna droga

ptak śpi za oknem czujny jak zawsze
i nawet nie wie co to wczoraj
warto mu się przyjrzeć dokładnie

opowiada tylko dziś
jeśli w ewolucji jesteś wyżej
możesz przecież tak samo

i to co ci ona dodała
nie przyjął tak serio
czasem warto się zniżyć

chyba że twoje ego uważa
że potrafi zmienić przeszłość
bo macha wciąż rękoma bezradnie

nawet gdy konieczne jest
zadośćuczynienie to coś za coś
zawsze wygląda niemrawo

tylko pokora uciszy
z tej a gdy nie – z tamtej strony
nie ma w tym twojej winy



Kozetka (98)**Egzotyka sacrum**

*Przyszłość jest prezentem,
jaki robi nam przeszłość.*

Andre Malraux

Joanna Friedrich

Egzotyka sacrum to potrzeba sensu. „Cywilizowany” świat zdiera maski jedna po drugiej. To łysy, goły facet bez figowego listka, za to w nastroju wojennym. Już nie ma tematów tabu ani miejsc bez zbrojeń. Czasem w głębi dżungli odnajduje się jeszcze jakiś nieznaną gatunek.

Tego też trzeba będzie uzbroić po zęby.

Od trzech lat chodzę po puszczy i ją fotografuję. Tu można znaleźć nowy gatunek w sobie. Natura stroi się bezustannie. Ale się nie broni. Wchodzi się bez pukania. Bez drzwi do Narnii, bez podziemnych korytarzy, no, chyba, że wpadniesz do lisiej nory. Puszcza zdobi się w neony, porzrucane wszędzie seledynowe mszane poduszki przyciągają jak magnes. Tu nie ma czasu, jest czas przed czasem i poza nim. Miękką wilgotność i dużo świeżego tlenu. Wiatr porusza tylko szczyty drzew, na dole jest cisza, poprzetykana pajęczą nicią i grzybami. To za dnia. Bo w nocy teren przejmuje król puszczy i urządza rykowisko-disco. To miejsce jest jak ogromna garderoba: fotografuję maleńki dziewczęcy croksik z wizerunkiem księżniczki Elsy. Zgubiony przez jakiegoś współczesnego Kopciuszka. Na gałęzi wisi dziecięcy sweterek w skandynawski wzór. Siąpi deszcz. Puszcza opowiada historie po swojemu. Jakaś dama zostawiła kozaki na przystanku, jak wyciętym z kadru serialu „Dark”. Tu podróże w czasie i przestrzeni to norma, wystarczy posłuchać ptaków. Ktoś porzucił letni szal w drobne kwiatki. Ostatnie

pożegnanie, pierwsze powitanie. Po takich lasach na pewno spacerowali Bracia Grimm.

Ucieczka w światy przedstawione, to jedno z niewielu remediów na Weltschmerz, które jeszcze działają. Ponoć sam Einstein polecał czytać baśnie, baśnie i jeszcze raz baśnie. Sacrum znika, profanum się zbroi. Czekam, aż coś poprawi mi nastrój, cokolwiek.

To nie może być depresja, po prostu przyszła jesień współczesnego średniowiecza.

Zima zmysłów.

I, kiedy prawie tracę już nadzieję, zdarza się cud: Kilka ciepłych słów. Z serca do serca. Z pustego i Salomon nie należy, ale kobieca solidarność istnieje, jak zielone światło.

Dotychczasowy model feminizmu powarkuje jak stare auto bez katalizatora. Patriarchat spuchł od testosteronu jak traktor z farmy Clarksona. Słowa tracą ważność. Jaki model i czego będzie najlepszy?

Nie wystarczy pokój i spokój?

W modzie: Wiosna.

Dzisiejszy wybór padł na wiosenną kolekcję angielskiego domu mody Alexander McQueen, autorstwa Sarah Burton, inspirowaną sztuką Magdaleny Abakanowicz. Czego chcieć więcej?

Prawdziwej wiosny?

Nowoczesna estetyka sacrum:

**Michał Kaczmarek****Z S3 na A4**

z balkonu macha matka
na dworze znajomy sąsiad
z reklamówką dzwoniących butelek

woła pracodawca
łóżko tęskni za ciałem dziecka
klamka za odciskiem linii papilarnych

parkowe ławki
mówią cicho do widzenia
objazdowy teatr
rusza w trasę wokół ratusza

nie słuchamy jego piosenki
ani ja
kiedy skręcam w prawo na rozwidleniu
ani ty

zostawiłeś widok z okna
i nas włączających silnik
aby klimatyzacja schłodziła wnętrze

w lekarskim oświadczeniu tajemnica
w nocy z trzeciego na czwartego kwietnia
zatrzymanie akcji serca

Ostatnie spotkanie

przyjechaliśmy po matkę
by nas odwiedziła
ojciec miał zostać
złe samopoczucie

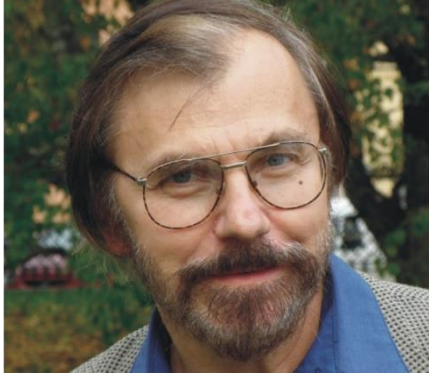
siedzieliśmy w samochodzie
przywitał się
pomachał wnukowi
rzucił wesoło *ja bym pojechał*

matka nie chciała
po latach pijaństwa
kiedy się uspokoiła
wolała go mieć pod kontrolą
w określonym miejscu
jak lampkę która na środek biurka
rzuca coraz słabsze światło

przed telewizorem
zadowolony z kilku dni samotności
w połowie niewidoczny
wysepka w deszczu
która grozi wypadkiem



Listy do Pani A. (187)



Fot. Andrzej Dębkowski

Zmienność bytu

Droga Pani!

Zapadamy coraz głębiej w rok 2024, który może okazać się dla nas zaskakującą niespodzianką. Jesteśmy niczym mroźny kurczak w rosole: wokół wrze, ale on się jeszcze nie rozmroził; jeszcze chwilę będzie zimny. I taka jest nasza sytuacja. Wojna w Ukrainie, kacapsy bandyci niszczą i mordują, odgrają się, że wtargną do Europy, a miasta po najeździe tych morderców wyglądają gorzej niż po drugiej wojnie światowej. Mówił mi ktoś, że pod koniec wojny sowieci na tak zwanych „wyzwolonych” terenach niszczyli i rabowali wszystko, co było po drodze. Tak m.in. zostało zburzone Miastko. Prawie wszystko, co tam po działaniach wojennych ocalało, zostało przez sowieców zburzone. Nie zdążyli wszystkiego zniszczyć, a więc część dawnej substancji miejskiej mamy na szczęście do tej pory.

Przyznam się Pani, że z jednej strony patrzę na dzisiejszą sytuację z niepokojem, a z drugiej wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne, aby się coś podobnego wydarzyło w Polsce. Można się pocieszać, że mamy NATO, ale podczas drugiej wojny też mieliśmy deklaracje „sojuszników”, którzy, gdy przyszło co do czego, odwrócili się pięknie tyłem do Polski. I wyszło jak zawsze. Ale na bieg dziejów nie mamy wpływu, więc może nie warto się zastanawiać i niepokoić na zapas? Zobaczymy. Napisałem kiedyś dawno temu, zniechęcony do wszystkiego, że żyję tylko przez ciekawość. Tak, ciekawość może być motorem egzystencji.

Chyba znów myślami uciekam w przeszłość. Jednak wspomnienia stanowią zupełnie dobry azyl psychiczny. Tym razem czasy maturalne stanęły jak żywe przed moimi oczami. Dziwnym trafem kilka dni temu wpadła mi w ręce mała książeczka. To była „Ewangelia Święta według Św. Łukasza”. Dostałem ją z dedykacją, „Drogiemu Absolwentowi Stefanowi Jurkowskiemu”, z okazji złożenia matury”.

Data: 1.VI.1968 r. Niżej następowały podpisy naszych Profesorów. Na pierwszym miejscu – autograf naszego katechety, Ojca Roberta Madejskiego OFM. Wspomnienie ożyły.

A tu za kilka dni czytam na Facebooku opowiadanie mojego szkolnego kolegi Marcina Baranieckiego, poświęcone właśnie pamięci tego zakonnika. Przypadek?

O. Robert... Życzliwy, ciepły Człowiek, franciszkanin. Gdy w IX klasie przeżywałem „bunt młodzieńczy”, częściej chodziłem na wagary niż do szkoły (kiedy pojawiałem się w klasie mówiono: „wizytator przyszedł”), chciano mnie po prostu skreślić z listy uczniów, zwłaszcza że miałem siedem ocen niedostatecznych. Wtedy na radzie pedagogicznej ujął się za mną właśnie O. Robert, przekonywał wszystkich, że to przejściowe wybryki, że dojdę do rozumu, na pewno się poprawię. W rezultacie nie wyrzucono mnie, zostawiono tylko na drugi rok. Bez przesady mogę powiedzieć, że dokonał mojego życiowego ocalenia. Potem ze zrozumieniem i życzliwością wszystkich Profesorów spotykałem się w tym wyjątkowym naszym Liceum św. Augustyna. Chyba niejednokrotnie wspominałem Pani czas moich szkolnych lat.

Już luty, a więc mam rację jeśli chodzi o owe stopniowe lecz nieuchronne zapadanie się w przyszłość, choć mam w pamięci stosunkowo niedawny Nowy Rok. Te fajerwerki, wystrzały, szampany. Z czego się ci ludzie tak cieszą? Że coraz bliżej tajemniczego Nieznanego? Owszem, to budzi ciekawość, jest jak swoista opowieść z dreszczykiem, ale bez przesady. A widząc to, co dzieje się w Ukrainie mam wielką abominację do strażów, fajerwerków i dymu. Pominąwszy już to, że takie zabawy w hucznego sylwestra są zabójcze dla zwierząt i ptaków. Nikt nie pomyśli, że zwierzę też człowiek. Okazuje się tymczasem, że człowiek to mniej niż zwierzę.

Tymczasem dalej szaleje covid, ciekaw jestem, czy odpuści na wiosnę i latem. Chcę znowu pojechać na Mazury. Trzeba wykorzystać, póki jeszcze czas, wszelkie możliwości, bo nic nigdy nie wiadomo. Pozostają więc wspomnienia.

Dostałem świetny tom wierszy „YESTEM” Lilli Latus. Znalazły się tutaj również tłumaczenia jej utworów aż na sześć języków, w tym na – co mnie najbardziej zdziwiło – język bengalski. To zbiór świetnych wierszy. Mądrych, filozoficznych, bardzo oszczędnych, precyzyjnych w formie, odkrywczych w przesłaniach. Lilla zawsze była świetna poetką. Poznałem ją w Żelowie na Żelowskich Dniach Literatury, organizowanych przez Andrzeja Dębkiego. (Niech mi Andrzej wybaczy, jeśli pomyliłem właściwie brzmienie nazwy Festiwalu). To było w czasach, kiedy się jeszcze nie myślało o zagrożeniach, które dziś wiszą nad nami. Przyjeżdżało wówczas wielu poetów, niektórych już nie ma między nami, jak Jurek Tomaszewicz, Leszek Żuliński, Zbyszek Jerzyca, Ernest Bryll, Irena Conti Di Mauro i wielu, wielu innych. Dużo spotkań, kiermasze naszych książek, wesoła, pogodna atmosfera, można powiedzieć: kwitnąca, bo też i sówicie podlewana...

Rozmawialiśmy z Lillą o poezji, o życiu, właściwie o wszystkim. Zawsze ceniłem jej wiersze, ale ten tom „YESTEM” wprost mnie olśnił. W dedykacji dla mnie sparafrazowała jego tytuł: „Dobrze, że YESTe...” . Bardzo

polecam Pani ten tom, bo naprawdę świetny, zostawia w czytelniku głęboki ślad. Zmusza do refleksji, budzi przemyślenia, które długo zostają w człowieku.

A skoro o książkach poetyckich mowa mam wybór wierszy Andrzeja Gnarowskiego „Ecce homo i czas odnaleziony”. Kolejny zbiór świetnych, poważnych, refleksyjnych wierszy lirycznych. I znowu wspomnienia. Jeździliśmy na niezliczone Galicyjskie Jesienie Literackie – Andrzej z Grażyną, i ja za kierownicą. Miwaliliśmy wtedy wspólne spotkania autorskie z młodzieżą, a także uczestniczyliśmy w dużych koncertach literackich w większych ośrodkach kultury, np. w Tarnowie, Tuchowie, Dębicy, Brzesku, Dąbrowie Tarnowskiej. Andrzej, obdarzony nietuzinkowym poczuciem humoru, a także wielkim taktem, nieraz tonował wysoki niejakiego Jurkowskiego, kiedy ten znowu dał sobie w szyję. A nad nami dwoma czuwała Grażyna niczym anioł opiekuńczy.

Prócz poezji Andrzej Gnarowski uprawia krytykę literacką, pisze recenzje, szkice i eseje. Jestem mu wdzięczny za świetną, analityczną przedmowę do moich „Poezji wybranych”, wydanych przez LSW w 2010 roku. Sprawdzając datę wydania po prostu osłupiałem. To już minęło od tamtego czasu czternaście lat! Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tak gwałtownego upływu czasu. A świat był wtedy inny, bardziej przyjazny, choć niekiedy narzekało się na rozliczne kłopoty i niedogodności.

Przyznam się Pani, że ostatnimi czasy wyraźniej dostrzegam ową „zmienność bytu”; wszystko wygląda inaczej, inni są ludzie, nie mówiąc już o sytuacji politycznej i międzynarodowej. Coraz bardziej niebezpiecznej. Polacy lubią na własne życzenie ściągać sobie na głowę rozmaite niebezpieczeństwa i dramaty, a później płaczą i błagają o ratunek. Ot, taką osobliwą, często samobójczą nacją jesteśmy, więc w końcu przestaję się dziwić, że nas w świecie nie kochają.

Lubię zmiany, ale jakaś stabilność w tym wszystkim też jest pożądana. To wszystko są wprawdzie zjawiska powszechne, banalne, ale jeśli przeżywa się je na własnej skórze, to raczej bywa średnio przyjemne, jeśli się nie jest masochistą. Pozostaje więc pancerny psychiczny, realistyczny spojrzenie w przyszłość, rzadkie oglądanie się za siebie. Chociaż bez wspomnień i historii nie byłoby pełnego życia.

Tak więc pograżam się w lekturach, poważnie są to biografie znamienitych artystów, pisarzy, naukowców. Dla równowagi oddałem się do ich czasów, choć staram się także nie tracić z oczu teraźniejszości a nawet przyszłości, dopóki ona jeszcze przed nami jest.

Życzę Pani optymizmu, odwagi, pogodnego spojrzenia na rzeczywistość. W końcu wiosna przed nami, a potem... zobaczymy.

Łącząc serdeczne pozdrowienia –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Jaka przyszłość kultury?

(Część II)

Naród jest wspólnotą, którą łączą różne społwa, ale nade wszystko łączy kultura. Kultura stanowi o tym, kim jest człowiek i jakie jest oblicze narodu, ale także i o tym, jakimi kryteriami kieruje się władza państwowa. Człowiek przecież to nie tylko wymiar zaprogramowany ekonomicznie. Istnienie człowieka określa wewnętrzny stosunek do prawdy, dobra i piękna.

Andrzej Dębowski

Dziś powszechną grozą i przerażeniem będzie fakt, że dla współczesnych Polaków wśród pragnień tzw. bogate życie kulturalne pojawia się dopiero na 7. miejscu. Według ostatnich informacji ponad 60 proc. Polaków nie czyta żadnych książek. Z innych badań wiemy, iż tylko 5% Polaków uważa, że należałoby zwiększyć dotację na kulturę. Namiastką kultury dla 67% Polaków jest codzienne oglądanie telewizji. Powstaje jednak pytanie – czy telewizja jest rzeczywiście źródłem formacji kulturowej i jakiej?

Niech więc ludzie sztuki, nauki, polityki i kultury wykorzystują swoje zdolności twórcze, aby ukazywać całą prawdę, piękno i dobro życia. Będzie to możliwe tylko wówczas, gdy dążyć się będzie do zbudowania integralnej wizji człowieka. Jeżeli ta wizja będzie słaba, ludzka godność zostanie umniejszona, a dobra stworzone, które powinny służyć dobru i postępowi całej ludzkości, prędzej czy później obrócą się przeciwko człowiekowi i życiu. Kończące się stulecie, z jego bolesnym doświadczeniem wojny, przemocy, tortur i różnych form ucisku ideologicznego,

jest tego aż nazbyt wymownym świadectwem. Zarazem jednak jest też świadkiem niezłomnej mocy ludzkiego ducha, triumfującego nad wszystkim, co próbuje zdławić jego przemożne pragnienie prawdy i wolności.

W rosnącej konkurencji makroregionów skuteczny mecenat państwowy nad kulturą i dziedzictwem narodowym ma kluczowe znaczenie. Myślę, że mecenat ten jest obowiązkiem wynikającym z misji. Edukacja i kultura są rodzajem inwestycji w przyszłość, stwarzającej możliwości rozwoju obywatelom.

Badania wykazują, iż niezależnie od stopnia prorynkowego nastawienia gospodarki w krajach europejskich, podstawowe znaczenie dla rozwoju kultury tych krajów mają środki publiczne pochodzące z budżetu państwa i budżetów samorządowych. Czy pamięta się o tym w Polsce?



Rys. Stefan Rusin

Ważnym aspektem reformowania systemu finansów publicznych powinno być położenie nacisku na efektywność wydatkowanych funduszy na działalność kulturalną, artystyczną i ochronę dziedzictwa narodowego. Reforma budżetu państwa nie może spowodować redukcji środków na kulturę i edukację, które decydują o rozwoju kadr i przyczyniają się do zwiększenia mobilności społecznej, co przeciwdziała bezrobociu. Nowoczesność kultury może w tym znacznie pomóc, gdyż jej przyszłość jest w sposób nieodparty i nieodwracalny związana z masowymi środkami przekazu w ich fazie nie tylko audiowizualnej, ale i multimedialnej. Narastająca dominacja tych środków jest oczywista, zarówno w sferze informacji i komunikacji, jak i w całej cywilizacji, skoro informacja i komunikacja jest tej cywilizacji materią i energią zarazem. Nie należy odrzucać multimedialności, przeciwnie – trzeba je rozumieć i trzeba umieć się nimi posługiwać.

Nie sposób budować i wcielać w życie wizji nowoczesnej Polski bez świadomości, że kultura jest istotnym wyznacznikiem poziomu życia w naszym państwie, jak również miernikiem naszej pozycji pośród społeczności międzynarodowej. Wiąże się to jednak z całym pakietem kulturalnych powinności, które należy wdrażać i to jak najszybciej.

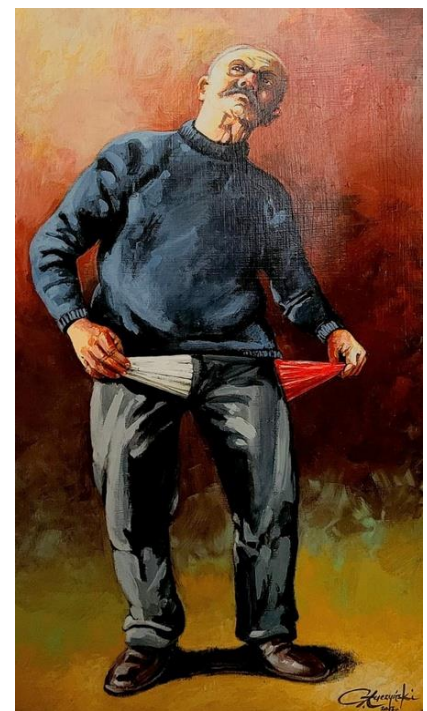
Narodowym instytucjom kultury, których znaczenie musi odpowiadać nazwie, powinny zostać przywrócone właściwe warunki rozwoju. Ich byt prawny powinien być uregulowany ustawowo. Potrzebna jest nowa ustawa o instytucjach kultury, która da możliwość sprawnego zarządzania teatrami, muzeami i innymi placówkami kulturalnymi.

Państwo powinno przyjąć pełną odpowiedzialność za działalność szkolnictwa artystycznego I i II stopnia oraz inicjować programy upowszechnienia edukacji artystycznej. Powinno udzielać wsparcia dla najbardziej wartościowych projektów teatralnych, muzycznych, wydawniczych i innych przedsięwzięć animowanych przez instytucje kultury.

Dbłość o dostęp do kultury dla szerokiego kręgu społeczeństwa wymaga zastosowania wyjątku kulturalnego w stosunku do książek i czasopism o znaczeniu kulturalnym.

Skuteczna promocja polskiej kultury może w sposób najbardziej efektywny wzmocnić pozycję Polski na arenie międzynarodowej poprzez wypromowanie atrakcyjnego i spójnego wizerunku naszego kraju. Ale o tym, czy tak się stanie będziemy w głównej mierze decydować sami – swoją postawą, swoim zachowaniem, swoim uczestnictwem w kulturze i swoim oddziaływaniem na innych.

Koniec



Rys. Sławomir Luczyński

Ławeczka Józefa Barana (15)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

U wielkich ludzi wszystko jest wyolbrzymione, także skąpstwo, obżarstwo, cechy negatywne...

Jestem jeszcze wciąż młody, skoro, gdy poznaję kogoś, kto wydaje mi się ciekawy, mam tyle nadziei z tym związanych. O wiele za wiele... Początki znajomości, pierwsze spotkania, bywają niekiedy tak intrygujące, bo są w nich jakby potencjalne załączki na spełnienie wszystkiego. Oto jeszcze raz wkładam w pierwsze spotkanie całą swoją wyobraźnię, mieszam ją z wątlą (na razie) realnością, myśli ze słowami, słowa z czynami. Chciałbym coś pomyśleć, żeby to natychmiast się stało. To może stać się w poezji, w życiu realna wersja jest zawsze uboższa od wyobrażonej. W pierwszym spotkaniu np. z ładną dziewczyną jest jeszcze wersja nie zubożona o żadne fakty, o żadną realność. Scenariusz wyimaginowany, idealny. Kocham pierwsze spotkania, podróże do nowych krajów (podróż to młodość, w której może się wszystko wydarzyć)... Nienapisane wiersze... Miłość niemożliwa, myślenie o tej miłości... Jest w tym wszystkim jakaś niedojrzała nadzieja, ale czy poezja to dojrzałość?

Polska jest wciąż młodym obiecującym poetą – niespełnionych nadziei, oślepych jasnowidzeń, niedorozwiniętych skrzydeł – aspirującym do wielkości, choć po cichu zazdrości, spełnionym „dojrzałym” krajom. Wciąż wychodzimy z siebie, lecz rzadko kiedy dochodzimy do celu... Trwamy w zawieszaniu...

...Spotkanie pisarzy w Domu Polonii z ministrem Krawczukiem. Wystąpienia J.J. Szcze-

pańskiego i profesora J. Błońskiego, sztandarowych postaci krakowskiej opozycji. Julian Kawalec, który ma wszczepiony gen zgody i ze wszystkimi chciałby żyć dobrze, zdenerwowany, długo przygotowuje się do wystąpienia, a kiedy próbuje go pocieszyć i dodać mu ducha, mówi do mnie: „Wolałbym orać u siebie we Wrzawach ziemię. Ja się nadaję do orania, a nie do przemawiania między tymi profesorami”.

Rzeczywiście, w końcu się spalił i wypadł blade. Utknął w pół myśli i zjadła go nadwrażliwość. Ja powiedziałem swoje o sytuacji pisarzy, dla których najważniejsza jest literatura, a nie politykowanie, i którzy nie są objęci ani mecenatem dolarowym, ani złotówkowym w tych francowatych (nie mówiłem, że „francowatych”) czasach.

To mówi o poezji Eliot, wydawca się tak sterylnie uniwersalny:

„Każdy naród posiada własną poezję (...) różni się ona od innych dziedzin sztuki tym, że dla narodu mówiącego językiem poety, ma znaczenie, jakiego nie może mieć dla cudzoziemców (...) malarstwo i muzyka są łatwiejsze do wnikięcia dla obcokrajowców”.

„Poezja zajmuje się wyrażaniem uczuć, wzruszeń mających charakter partykularny, podczas, gdy myśl jest powszechna. Łatwiej jest w obcym języku mówić, niż odczuwać. Przeto żadna sztuka nie ma tyle zawartości narodowej co poezja”.

„Poezja jest przypomnieniem tego wszystkiego, co wyrazić można tylko w jednym języku i co jest nieprzetłumaczalne”.

„Tym różni się pisarz dziwak lub szalony od prawdziwego poety, że pierwszy może doznawać uczuć niezwykłych, wyjątkowych, lecz których dzielić z nim nie można a przez to bezużytecznych, drugi zaś odkrywa nowe odmiany wrażliwości, które przyswoić sobie mogą inni (naród)”.

Ja zamieniłbym słowa „poeta szalony” na – po prostu – „narcyzowaty”, a czasem „grafoman” onanizujący się własnym pisaniem...

A poezja? To źródło wciąż odnawialnej energii językowej narodu...

Porządny burdel

Ulubione, komiczne powiedzenie poety Andrzeja W. na cyku, będące oskarżeniem systemu, w którym żyjemy:

„No i patrz, kurwa, co ja takiego w peerelu użyłem?”.

Nawet w porządnym burdelu nie byłem!...”.

Bunt kaloryferów

W klubie Kuźnica spotkanie z Adamem Michnikiem, który bardzo dowcipnie skomentował nadchodzący – według niego – krach komunizmu. Zmierch komunizmu to „bunt kaloryferów”, które nie chcą grać, drzwi, które nie chcą się otwierać, pociągów, które regularnie się spóźniają. Nie pomogli

zomowcy Kiszczaka, próbujący „spałować” kaloryfery. Komuniści muszą wcześniej czy później oddać władzę...

7-8 października

W Warszawie u Artura Sandauera. Między jedenastą a dwunastą w nocy spacer po parku z kosturami („na wszelki wypadek”, „od razu człowiek czuje się lepiej”). Artur wywija młyńca rączką kostura, muszę uważać, żeby mnie nie walnął. Rozmowa o „onizacji”, która była przed wojną obłożona „kłątwą”: „Bruno Schulz prawdopodobnie był onanem, z tego powodu miał też poczucie winy”.

Rozmowa o Mallarmem, który pracował dwa lata nad jednym sonetem. – Symbolizm europejski (francuski) był szczytem poezji – chrząka Artur – „Od tego czasu można było być już tylko gorszym. Albo... znaleźć inny sposób: stąd futuryzmy i różne –izmy, rozbierranie tego doskonałego zegarka tradycyjnej formy”.

Błądzimy pod gwiazdami. Rozmowy o Piccundzie (Gruzja), gdzie był dwa tygodnie.

Na drugi dzień w aucie: „Myślenie ogranicza się dziś do prac magisterskich, a sztuka do fikołków”. Usiłuję spierać się z nim, że jest to zjawisko ogólnosiwiatowe. Proces nieunikniony: – W Ameryce jest jeszcze gorzej, tam w ogóle nie chcą czytać... – Nie wiem jak jest w Ameryce, wiem jak jest u nas – pochrząkuje w swoim zwyczaj.

Są dni, gdy człowiek budzi się z poczuciem pustki i jałowości życia, jakby mnie nieznanymi sprawcami przysypali kurzem, darnią, żywcem w grobie, a ja nie mogę w żaden sposób udowodnić, że jestem żywy, choć wykonuję codziennie tysiąc zbędnych czynności...

Parę powiedzonek Artura: „Historia nigdy się nie kończy”, „Wszystko dąży do entropii”, „Wiarę się miewa od czasu do czasu”, „Wierzącym się bywa” (parafraza Przybosa – „Poetą się bywa”)...

cdn.



Podróż w poecie

Stefan Jurkowski opublikował nowy tom wierszy, który stanowi zabieg literacki, kiedy poeta jest w miejscu, a wokół niego wiruje świat wierszy opisujący świat realny i wirtualny. Najpierw poeta zamieszcza dziesięciowierszowy poemat „Dekalog mój”, w którym opisuje współczesny świat jako ruletkę kręcącą się wokół pieniędzy oraz karier ludzi, co jest dla niego sytuacją naganną.

Kolejne wiersze też są uchwytywane jako wirujące opisy światów: realnego, wirtualnego i kosmicznego. Zauważa Jurkowski, że nasz świat ciągle rodzi się znika, a powrót do świata dzieciństwa jest zwykłą iluzją. Cały nasz świat przenika żywioł ognia, a kiedy staje przed ołtarzem Witwa Stwosza zauważa, iż w tym dziele na słojach drzewa pulsuje niekończący się zbiór twarzy. Wspomina przy okazji niedawno zmarłego Stanisława Nyczaja, piewcy piękna Opola i Kielc. Myśląc o przyszłości, zbiera w nim śmiech przyszłych pokoleń. Ogląda nasz świat z perspektywy wstrząsających nim katastrof. Pochwala w pewnym sensie pijaństwo „Do dna”, jako antidotum na naszą kondycję w świecie. Po spotkaniu autorskim rozróżnia dwa czasy, które towarzyszą uczestnikom: czas autora i czas publiczności. Poeta odbywa również podróże w „milionie”, pomiędzy wsią a miastem i nie widzi różnicy w tym, co było i co jest. Obserwuje przybysz w tych swoich miejscach i widzi, że ich zachowania determinuje zysk i pieniądz jako taki. Poszukuje także własnej twarzy w różnych obrazach świata, lecz z marnym skutkiem, bo często nie rozpoznaje siebie i wydaje się mu, iż lewituje nad światem.

Analizuje także zjawisko życia studentckiego, opisuje jego etapy, aż do zmiany uczelni przez delikwentów. Przypomina sobie swój „wieczór autorski” i stan zupełnego rozkładu własnej osoby, aż do momentu wejścia do tak-sówki. Wspomnienia o przeszłości wydają się mu zbyt bliskie.

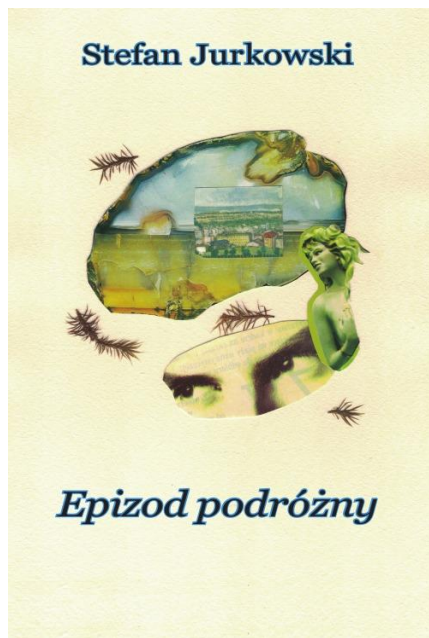
Obserwuje również świat z cmentarza w Pilicy, klasztor i drzemiące w nim nadzieje. Obserwuje walczące o pożywienie ptaki i ma świadomość, że w tej walce zapewne zadziobią kanarka. Rozmawia z kotem na temat umierających ludzi w czasie pandemii, ale i szanuje RODO i nie pisze anonimów. Przygląda się pijącym jak przysłowiowym wieprzom, zaś świat jawi mu się jak kabaret, na scenie którego jedni aktorzy zastępują kolejnych, co też ma komiczny wydźwięk. Uświadamia sobie, że trudno mu jest podejmować jakiegokolwiek wiążące decyzje i ciągle podchodzi do lustra, by się oglądnąć. To nie rozwiązuje jego wątpliwości. Przypomina S. Grochowiaka, który jakby antycypował współczesną kondycję naszego świata, w którym każdy chce wziąć drugiego za gardło.

W wierszu tytułowym – „Epizod podróży” – poeta rozmawia z „panem jotem” i wskazuje mu na względność i relatywność naszego świata oraz towarzyszące temu symbole – np. „krzyża”. Kolejny wiersz dedykuje jako pocieszycielce Annie Marii Musz. Bawi się w zgadywanke literacką z Ernestem Brylem,

przygląda się kobiecości, by znaleźć jej fundament. W Pilicy patrzy przez okno i szuka podstaw sensownej egzystencji ludzi. Tak rozdrgany emocjonalnie szuka jakieś namiastki azylu, co staje się coraz trudniejsze, ale marzy by wykluczyć się z jaja węża i nie mieć z tym światem wiele koneksji. Historię literatury przyrównuje do szwalni, gdzie twórcy prują i tkają nowe jej wersje. Chwali stare buty, wagary, obserwuje „taniec poetów”. Zaś na zakończenie Jurkowski zamieszcza wiersz pt. „komedia prawie egzystencjalna, w którym pisze: *było i było / jest i jest / będzie i / ciemność domyka się powoli // powoli świetlana szpilka chudnie / – jeszcze / jarzy się kielkuje / coraz bardziej tępa // miasta krajobjazy zwierzęta / znane nazwiska / ciemnieją // pionowe drogi / w chwiejnym cienkim / blasku // I śmieje się Ten // Którego Nie Ma.*

Warto się głęboko zastanowić nad tym przekazem poety, bo przecież daje wiele do myślenia.

prof. Ignacy S. Fiut



Stefan Jurkowski, „Epizod podróży”. Projekt okładki, korekta i opracowanie typograficzne: Irena Nyczaj. Opracowanie komputerowe: Paweł Nyczaj. Zdjęcie autora na okładce: Barbara Marszałek. Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2023, s. 90.



Zdarzenia w czasie

Leżałam skupiając w sobie ból i beznadzieję na wyzdrowienie, gdy przyszedł do mnie z wieczornego spaceru z kopertą w

dłoni. Jego oczy zatrzymały się na chwilę na imieniu i nazwisku nadawcy. Mimo niepokoju w sercu podał przesyłkę. Przecież to Walentynki, których nie obchodzimy, a jednak ktoś mi coś przysłał. Sylwetka psa przytuliła się do dłoni, machała ogonem, jakby chciała przegonić wątpliwości. Bez obaw, już wiem co kryje przesyłka.

Wspomnienia są jak zdjęcia w sepii, nieco wyblakłe, z zagiętymi rogami, czasami podarte lub skrzątnie ukrywane. Wspomnień nie da się powtórzyć, odegrać ról w nich zawartych, czasami brak już postaci, wyrosły lub się postarzały. Można je oglądać, uśmiechać się i ronić łzy, ale tylko poeta potrafi opisać, co wtedy czuł, gdy tyle się działo w nieruchomych teraz obrazach. Otworzyłam tomik **Stanisława Szwarca** i pierwsze, co zauważyłam to daty umieszczone nad wierszami. Najwcześniejsza była z grudnia 1999 – co wtedy robiłam? Ach, już wiem! Po chwili chwytam strzępy pamięci i czytam. Pochłonęły mnie światy opisane wspomnieniami, niby nieznane, a jakże podobne do wielu innych, osobiste, ulotne i niepowtarzalne. Mam wrażenie, że znam tę parę z *Metamorfozy*, której uczucia w *Zmaganiach* przeplatają się, odsłaniając kolejne warstwy:

*Niedawno, doprawdy, całkiem niedawno temu
oniemiałem z radości, odkrywając, że nigdy
nie zdołam rozpakować mojego prezentu,*

i że tak być powinno.

Następnie czytam o porach roku – słonecznych dniach i szarych snach (*Szare godziny*), w parku na ławce przyglądam się wiośnie, gdy kwitną klony, spaceruję, gdzie *aleje azalii szaleją* (*Siedzącej na ławce w parku*), przyglądam się zakupom starej ramki na zdjęcie żony (*Ani szkiełkiem, ani okiem*), chociaż

*Ona nigdy nie pasowała w żadne ramki.
No i dobrze.*

Przy wierszu *Moja teoria względności* zatrzymałam się na dłużej. Wspominałam pogawędkę z autorem JA o dawnych latach, sięgających wieku osiemnastego, powstania styczniowego, wojny bolszewickiej, obu światowych aż po tę dzisiejszą. Wiersz nie jest o naszej rozmowie, ale jakże pasują słowa:

*Czas unosi nas niepostrzeżenie
i tak sobie dryfujemy z jego nurtem*

O miłości tak wiele w tych wierszach, wspomnianej mimochodem, a jednak trudno w *Niegramatycznie* wprost ją określić –

*że nie pomoże biernik ni dopełniacz
wyrazić wyrazem nieskładnej miłości.*

Z pomocą przychodzą drobne gesty, by wyrazić uczucia, nadal obecne po wielu latach spędzonych razem. Mowa o miłości dojrzałej,

(Dokończenie na stronie 18)

Zdarzenia w czasie

(Dokończenie ze strony 17)

rozkwitającej w spojrzaniach, zrobionych zakupach, delikatnych muśnięciach i rozmowach przy stole, bo w wierszu *Nie rdzewieje* podglądałam bezwstydnie tych dwoje

*Coraz bardziej mamy tylko siebie,
byłe tylko nam ta miłość nie osłabia.
Trochę inna, jak ze starej piosenki.*

Był sobie sentymentalny dziad i pogodna baba.

Utwory posiadają moc, która niesie na skrzydłach nowe uczucia. Dlatego *Ciągłe zielona* wciąż do nas *Mówi szeptem*, niemal krzyżąc, że

*Późna miłość...
Miłość nigdy nie spóźniona.*

Coraz bardziej mam wrażenie, że para przedstawiona w wierszu *Kontakt* jest nierozłączna, jakby mężczyzna i kobieta stali się jednością. Czas, który upłynął rozporządzał ich losami. Spędzili chwilę ze sobą, potem doznali rozłąki, która wbrew pozorom czasami zbliża ludzi. To sztuka być z kimś i jednocześnie darować wolność sobie nawzajem –

*ja zrobię ci kawę.
Tylko nogi z daleka.
Znak wolności niezbędnej, która mówi –
Razem, bo tak chcemy.*

Żyjemy w nieskończoności i wieczności, wymyśliłoby się czas i jego podział, obwieściliśmy, że czas płynie, by odnieść się do ciągłych zmian w naszym życiu. Mimo to, potrafimy zachwycać się pięknem świata i życia, akceptować je takimi, jakimi są. Niekiedy szczęśliwie uznajemy, że czas jest łaskawy, pozwala pamięci zatrzeć niektóre, zwłaszcza te nieprzyjemne, sprawy. Chcę jednak zaufać Platonowi, który twierdził, że czas jest ruchomym obrazem wieczności, zamkniętym w kole. Zatem nie mamy większego wpływu na powroty do tego dobra, które miało miejsce w przeszłości. To się niektórym szczęśliwie zdarza. Tak po prostu.

Randka

*Patrzmy sobie w oczy,
nieważne, że spłowią.
We włosy przerzedzone
łatwiej się wsuwa dłoń.
Kto nie całował zmarszczek,
nie wie, co to pieszczota,
Cóż stąd, że tajski masaż
już tylko dla zimnych stóp.
Patrzmy sobie w serca,
Tam ciągle jasna krew.*

Alicja M. Kubiak

Tamta jesień

*Pamięci Bruno Schulza
w 130. rocznicę urodzin*

Przed mój trybunał świadomości ustawicznie przywoływany jest szczególnie, jesienny fresk. Ojca nie ma. W delegacji, w odległej krainie ujarzma smoka i żmudnie drąży uparte połączenie ugorów. Matka krząta się w kuchni. Siostry od zawsze nieobecne, szybują zalotnie po dorosłym niebie. Mam dziesięć lat. Odkładam Apokryf, nieudolny Falszyfikat i wyruszam z bezpiecznej ciepłoty siedliska. Podwórko z wolna obrasta bluszczem zmiernym. Z ziemistych porów sączy się wilgotny, korzenny fluid głębi. Tego, co pod, co magnetyzuje i urzeka czarowną księżniczką tajemnic. Tylko się zacytać. Tylko dać się pociągnąć nieśmiałym witkom podziemnych sylw przeszłości. Spocząć w zacienionych jarach odwiecznych dysertacji.

Szedłem poruszony melancholijną zapowiedzią nocnych widziadeł, kiedy głodne gwiazdy drążyły przestrzenie. W tamtych dniach rozciągający się wzdłuż jeziora park spowijała osnowa mitotwórczej aury. Wieczorami, w nasyczone blaskiem drzewa, wstępował średniowieczny zaświat bywalców uroczysk. Z czeluści ukorzenionych ciał snuła się powieść. Jej rozliczne interpretacje zapisane na równych liściach, bezwładnie opadały z gałęznych kończyn w rozproszenie. Próżno grzebałem w butwiejących, w owym czasie niegrabionych stosach manuskryptów. Pochłonięty lekturą, przytłoczony nadmiarem nieprzebranych, pokawałkowanych akapitów, szybko gubiłem wątek i meritum. Jednak ta mnogość treści nie zniechęcała, wręcz przeciwnie – budziła do jakiejś sensualnej ekscytacji. Rozpalała namiętną chęć zbierania rozpryskanych iskier. Oddania się niekończącej egzegezie poruszeń serca.

W tej peregrynacji przez meandry zarośli, matryce łyka, marginalia przelatujących muszek, nawiasy załamania światła, wciąż rozszerzały się nowe perspektywy sentymentalnych nawarstwień. Zawładnęły mną ostatecznie i żywicznie. Oszołomiły paletą metafor emanujących z podprogowych źródeł.

Podniosłem głowę. Chmury kruków, gawronów i kawek wypełniały przestrzeń mroczną konfiguracją emocji. Dobywane z pierzastych ciał gardłowe dźwięki, niosły wystudiowane w gniazdach elementy nowel. Byłem przekonany, że ta pozornie chaotyczna kakofonia kryje w sobie inauguracyjny pogłos prapłaka. Przesłanie dziwnie bliskie, znajome... zasłyszane jakąś częścią mnie w archetypicznym maticzniku. Teraz namacalne, wydobywane spod podszywki literalnego świata.

Do pewnej chwili opustoszałe, powykęcane ławki, zasiedliły mgławicowe kreacje antycznych wcieleń. Nie tęskniące za ciałem. Wierne mistycznej zadumie nad Oryginałem, nad przepastnym foliatem Autentyku. Nieśmiało przysiadłem obok. Czym jednak było moje, dopiero budzące się do świadomości istnienie, wobec ogromu formy zalegającej w pokładach ponadempirycznej rzeczywistości?

Mogłem tylko obserwować jak na ułamek sekundy, uchylają się magazyny z arkuszami zapisków anachronicznych i zaniechanych herezji. Za plecami czułem napierający oddech wilgotnych drzew. Ich opatulone mgłą postury z rozpaczerzonymi konarami szumiały zanotowanym w słojach minorowym chorałem. Wieczność penetrowała chaszczę, zagłębiała pod każdy liść, przepatrywała splekania kory, śledziła zapobiegliwą marszrutę owadów. Tymczasem jezioro rzewnie popluskowało niczym małe dziecko samotne pod kołdrą bezkresnej nocy. O brzecz, niesione na ciekłych wybrzuszeniach, monotonna objęły się utracone gałęzie niegdyś pochopnie błogosławiące słoneczną luminację. Gdzieś tam wodne ptactwo nostalgicznie kwiliło nad pustką wypłukanych i wyżeblonych gniazd. Wtórowały im rozszepcane klany oczeretów mierzwiłone niewidzialnym podmuchem dziejów. Powietrze buzoowało aromatem wodorostów, tudzież gnilnym rozkładem zapowiedzi nowych światów. Zapach plennej grzybni przywodził na myśl zawilgocone woluminy zalegające w archiwum anamnezy.

Co istniało – istnieje! Co ma zaistnieć, już przypomina o sobie w tym bezodpływowym i bezodpływowym akwenu wszechbytu! Wszelkie odrosty, konstrukcje i założenia przenikają się, nawracają do gremialnego chóru rzeczy, by znów dokwitnąć do przekwitnienia.

Najbardziej poruszało doświadczenie bliżej nieokreślonej OBECNOŚCI – przyjaznej i bezpiecznej. Podpatrującej zza węgła czwartego wymiaru. Prawie dotykanej, irracjonalnie świadomej mojego z nią obcowania, a zarazem obojętnej na niedyskretne indagacje. Widmowa faktyczność egzystując samodzielnie, nie wabiła, ale i nie wzbraniała wstąpić w twórczy, fermentujący labirynt. Czułem więc... a to skutkowało pewnością rosnącą jak katedra. Hipnotyzowało do ostatecznego zapomnienia się w zaroślach metafor. Do zatopienia w geografii introwertycznej wyobraźni.

Instynktownie podążyłem za krawędź widzialnego świata. Szedłem, pławiąc się w wieloświatu, w wielodrzewiu rozmiętanym na wielolistną konstelację spadających preasumpcji. Na peryferiach park z wolna przeobrażał się w nieoswojony las. Gęsty od gawęd, dramatów i rozczarowań. Duchy nobliwych buków przechodziły przeze mnie. Defilowały widma wyłuskane ze zbiornicy niezrealizowanych projektów. Rozrastały się regiony chruścianego kosmosu.

Stąpałem po drodze znaczonej korzennymi żyłami, nabrzmiałymi od wysiłku twórczej jaźni uniwersum. Po drodze przyjaznej moim dziesięcioletnim stopom, wijącej się niczym wstążeczka wieńcząca warkocz rudowłosej koleżanki z klasy, za który tak bardzo lubiłem ciągnąć.

Tamta jesień! Punkt odniesienia odżywiający pajęczą nitką we wszystkich następnych! Ostatnie westchnienie przed spojrzaniem w wypłakane czarne dziuple oczodoły. Zabrałem ją ze sobą. Kontemplowałem nawet wtedy (a stwierdzam to z przerażeniem), kiedy dałem się zwieść rozwidlonym w różnych kierunkach odnogom ścieżek – prowa-

dzącym donikąd dywagacjom. Tak, zapętlilem się w lekturze, pomyliłem czasy i wersy. Wkręcił mnie rygorystyczny mechanizm pór roku i potwierdziło się bez zbędnych wyjaśnień, że jestem zaledwie odpomnieniem, składnikiem jakiejś wyższej genealogii.

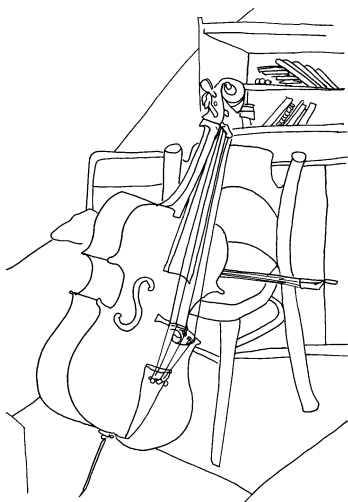
Po kilkunastu latach tułaczki dotarłem do Schyłkowego Boru. Moja odzież rozpadła się kompletnie. Zmuszony jestem owijać wypożyczone ciało liśćmi i wiązkami traw. Za buty służą mi ułamki łyka. Kiedy zbyt długo śpię w przygodnych legowiskach, moją skórę porasta mech i obsypuje igliwie. Za dnia owo miejsce spowija cieniowa zawiesina na wpół onirycznej substancji. To przesiąknięta zadumą nad zalegającymi w spichrzach nocy strzępami fabuł samotnia. Zatlóczona krzewiną i płatanim trudnych do zrozumienia nagabywań wiatru. Ostatni wiec melancholijnygo posuszu zadumanego nad zielonymi latoroślami retrospekcji. Na krótkolistną chwilę przed zmianą formy wyciąga ku mnie zmartwiałe konary. Oczekuje (fudzę się przypuszczeniem), że stanę się mu zielenią, żywicą, młodym pędem, jakimś przelotnym uzasadnieniem. Jestem bezsilny wobec tych żałosnych postulatów. Sam zastygam z gałęzią wyciągniętą ku chmurnej hosannie. Już mą zdrewniałą skórę penetrują adepti kornicznych jesziw. Niestrudzeni pisarze wygryzający elaboraty dla zagubionych i przypadkowych czytelników pleśniejących księgozbiórów.

Może kiedyś powstanę ze ściółki. Odrodę w jakiejś legendzie i litera po literze, wiór po wiórze, wrócę do siebie. Do tamtej jesieni. Prolog pamiętam jak przez sen. Zaczynało się mniej więcej tak:

Ojca nie ma. W delegacji, w odległej krainie ujarzania smoka i żmudnie draży uparte połączenie ugorów. Matka krząta się w kuchni. Siostry od zawsze nieobecne, szybują zalotnie po dorosłym niebie. Mam dziesięć lat.

Nad wierzchołkami braci większych zagubiona litera. Zatrzepotała jak nietoperz i zanurkowała w ciemnej plamie jaskini, tuż za rewersem księżycy.

Piotr Prokopiak



Rys. Barbara Medajska

Grzegorz Pełczyński

Opowiadania

Historyk

W roku 1983 brat Andrzej został magistrem historii i zaczął jej uczyć w miejscowym liceum. Wówczas ktoś z Rady Zborowej stwierdził, że mógłby on zbierać dokumenty dotyczące historii zboru. Poproszony o to, chętnie się zgodził.

Andrzej postanowił nagrać na taśmę magnetofonową wspomnienia starszych członków zboru, którzy mogli wiele powiedzieć o jego przeszłości, a poza tym sami mieli niezwykle przeżycia. W tym celu postarał się nawet o zagraniczne taśmy, ponoć o wiele lepsze niż polskie.

W pierwszej kolejności zamierzał nagrać wypowiedź brata Alfonsa, który był najstarszym zborownikiem. Pamiętał on jeszcze pierwszego amerykańskiego misjonarza, który przed wojną przybył do miasta, by głosić Dobrą Nowinę. Młody historyk planował też utrwalić wspomnienia siostry Zofii. Ta była bardzo aktywna po wojnie. Może dlatego w 1950 roku ją aresztowano i kilka miesięcy przesiedziała w więzieniu, podejrzana o szpiegostwo. Poza tym chciał, aby mu o swej działalności opowiedział brat Marian. A zajmował się on przemytem Biblii i literatury chrześcijańskiej do Związku Sowieckiego.

Jednakże zanim Andrzej odbył z nimi wstępne rozmowy, wezwał go pastor.

– Andrzeju, bardzo cię proszę, abyś na razie powstrzymał się przed tymi nagraniami – powiedział ze smutkiem.

– Z jakiego powodu?

– Wiesz jaką mamy teraz sytuację w kraju. Niby zniesiono stan wojenny, a nic się nie zmieniło.

– Ale ja chcę tylko zadbać o to, by nie poszły w niepamięć dzieje naszej społeczności.

– W Urzędzie do Spraw Wyznań bardzo się tym zainteresowano, a to może oznaczać kłopoty.

– A skąd oni o tym wiedzą? – zapytał zdziwiony.

– Bracie, jedna z naszych sympatyczek, prawdopodobnie przychodzi do kościoła tylko po to, aby nas śledzić.

Andrzej wobec tego odłożył swoje plany na lepsze czasy. Nadeszły one dopiero pod koniec lata osiemdziesiątych. Niestety, nie było go wtedy w kraju. Wcześniej wyjechał na kilka lat do Kanady, by tam pracować, oczywiście nie jako historyk. Zaraz gdy wrócił, dowiedział się od rodziców, że brat Alfons i brat Marian już nie żyją. Natomiast siostra Zofia wskutek postępującej sklerozy nic czy prawie nic nie pamięta z tego, co przeżyła na początku lat pięćdziesiątych.

Pożałował, że wtedy, gdy pastor wstrzymał jego inicjatywę, nie przeciwstawił mu się. Lecz natychmiast uświadomił też sobie, że zanim wyjechał za granicę, mógł przecież

dokonać nagrań. Mógł również zlecić je komuś, sam będąc poza krajem. Zatem nie zrobił tego, czego się podjął ze zwykłego nie-dbalstwa.

– Nie spełniłem mego zadania – mówił do pastora po niedzielnym nabożeństwie. – Miałem utrwalić wspomnienia tych, którzy uczestniczyli w ważnych wydarzeniach, jednak tego nie zrobiłem i już nie zrobię.

– Chyba nie ma takiej potrzeby – rozesmiał się duchowny.

– Dlaczego?

– Gdy ty byłeś w Kanadzie, do naszej wspólnoty przyłączyła się siostra Ola, która, tak jak ty, ukończyła historię. Ona właśnie cię wyręczyła.

– To wspaniale! – ucieszył się. – W takim razie przeszłość nie będzie zapomniana.

– Choćbyśmy ją nawet zupełnie zapomnieli, z pewnością byłaby dobrze zapamiętana.

Aruba

Przed kaplicą stała siostra Bożena, zaś obok niej jakaś młoda kobieta. Robert uklonił się jej pośpiesznie i otworzył drzwi, by wejść do środka. Nie chciał się wdawać z nią w rozmowę, bo była bardzo gadatliwa, a zaraz miało rozpocząć się nabożeństwo.

– Czy ty znasz angielski? – jej niespodziewane pytanie jednak go zatrzymało. – Nic nie rozumiem, co mówi ta Angielka.

Spojrzał na Angielkę. Miała niebieskie oczy i rude włosy i chyba też kilka piegów. Uśmiechnął się do niej, a ona do niego.

– Jesteś metodystką? – zapytał.

– Tak, jestem – odpowiedziała, a on poznał od razu, że angielski to nie jej rodzimy język.

– Przyszłaś na nabożeństwo? – wypytywał dalej.

– To ty się już nią zaopiekujesz – powiedziała siostra Bożena i weszła do kaplicy. Oni weszli za nią.

Ze stolika przy drzwiach wziął dwa kancjonały i jeden podał dziewczynie. Potem wskazał jej miejsce w ławce. Usiadła, a on przy niej.

– Będę tu przychodzić przez cały rok – powiedziała do niego ścisłym głosem.

– Przez cały rok?

– Jestem na rocznym stypendium.

– A skąd przyjechałaś?

– Z Aruby.

– Jesteś Hiszpanką?

– Nie, Holenderką.

– Myślałem, że Aruba jest w Hiszpanii.

– Nie, nie. To wyspa w Archipelagu Małych Antyli.

Nic z tego nie rozumiał, a nie mógł już dopytać, bo zaczęło się nabożeństwo.

Zebrani najpierw śpiewali *Błoga to pewność*. Cudzoziemka знаła tę pieśń i śpiewała ją w swoim języku, mile brzmiącym sopranem.

Robert nagle przerwał śpiewanie i dreszcz przeniknął całe jego ciało.

(Dokończenie na stronie 20)

Opowiadania

(Dokończenie ze strony 19)

Przypomniał sobie, jak kilka dni temu czuł się bardzo samotny i wręcz nieszczęśliwy z tego powodu. Nic dziwnego, przekroczył trzydziestkę i jeszcze się nie ożenił. Nie miał też bliższych krewnych, jedynie zbór. Ale w zborze nie było żadnych siostr, wśród których mógłby znaleźć żonę. Więc kilka dni temu ukląkł i modlił się, aby Bóg sprawił, że spotka wierzącą dziewczynę, która zechce za niego wyjść za mąż. I oto, jak widać, Bóg wysłuchał jego modlitwę.

Zwrócił wzrok na siedzącą obok pannę. Podobą mu się. Została do niego przysłana aż z Aruby. Pomyślał, że gdy wróci do domu, natychmiast sprawdzi w atlasie, gdzie dokładnie leży ta wyspa.

Zapowiedziano pieśń *Póki mego życia*. Robert znalazł ją w kancjonałach i podał jej. Przez chwilę wpatrywała się w tekst, po czym odłożyła książkę na pulpit. Nie rozumiała ani słowa.

– Nie martw się, nauczę cię polskiego – szepnęła jej czule.

Kaplica

Pewien urząd, którego nazwę trudno zapamiętać, zażądał od Wandy, by zajęła się starą kaplicą na przedmieściu. Bardzo ją to zdziwiło, choć nie powinno. Była przecież ostatnią żyjącą członkinią społeczności, do której ta kaplica należała. Aczkolwiek od wielu lat do niej nie zachodziła. Zostawszy sama, uważała, że nie miałoby to sensu.

Teraz jednak, kiedy kazano jej podjąć jakąś decyzję w sprawie kaplicy, postanowiła ją obejrzeć. Przyjechała taksówką pod budynek i od razu zauważyła, jak bardzo jest zniszczony. Powybijane okna, dach częściowo zarosły mchem, brak drzwi. W środku, na podłodze śmieci, a wśród nich deski – pozostałość po ławkach. W prezbiterium ślad na ścianie po wiszącym tu kiedyś krzyżu.

Właśnie naprzeciw tego śladu stał nieznaną jej młodzieniec. Wyglądał jakby się modlił. Ale usłyszawszy kroki, odwrócił się.

– Pani przyszła do kaplicy? – w jego głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Tak – odpowiedziała trochę smutno.

– Od dwóch lat tu przychodzę i modlę się, aby ktoś się do mnie przyłączył, bo gdzie dwaj albo trzej...

– Drogi chłopcze, nie jest tak, jak myślisz – przerwała mu. A potem dokładnie wyjaśniła, dlaczego tu przyszła.

– I co pani zrobi z budynkiem? – zaniepokoił się.

– Nie wiem, nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– W okolicy nie ma żadnego kościoła. Gdyby przeprowadziło się tutaj remont, można by zapraszać ludzi na nabożeństwa.

– Zastanowię się – powiedziała chcąc zakończyć tę rozmowę. Wyprawa w to miejsce i niespodziewana rozmowa bardzo ją zmęczyły. Niewątpliwie potrzebowała wypoczynku.

Wkrótce potem Adelajda zachorowała. Znajoma zawiozła ją do szpitala, gdzie spędziła wiele tygodni. Nie wyszła stamtąd całkiem zdrowa. Była dość osłabiona i raczej nie należało się spodziewać, że to się zmieni. Zamieszkała więc w pensjonacie dla starych ludzi, gwarantującym dobrą opiekę.

Któregoś dnia przyniesiono jej do pokoju gazetę, zaraz przystąpiła do czytania. Na pierwszej stronie zwracał uwagę wielki tytuł: „Mord w kaplicy”.

Wczoraj, w zrujnowanej kaplicy na przedmieściu znaleziono zwłoki Sebastiana R. (lat 21). Policja ustaliła, że od dłuższego czasu przychodził on do tego budynku, aby się modlić. Ostatnio gromadzili się tam też miejscowi chuligani...



Rys. Sławomir Łuczynski

Nie czytała dalej. Wiedziała, co się stało. Chłopak był w kaplicy, gdy wkroczyli do niej bandyci. Pewnie do nich przemówił. Lecz to, co miał do powiedzenia, nie spodobało im się. Nie spodobało im się tak bardzo, że go zabili.

Tego dnia do Adelajdy musiał przyjść lekarz. W nocy zaś czuwała przy niej pielęgniarka.

Stan jej zdrowia na szczęście szybko się poprawił. Odtąd jednak popadła w przygnębienie. Zarzucała sobie, że to ona właśnie przyczyniła się do śmierci młodzieńca. Bo gdyby wcześniej zajęła się kaplicą, nie stałaby się miejscem spotkań zdegenerowanej młodzieży.

Przekonana, że już nie dokona niczego dobrego, zaczęła pragnąć śmierci. Kilka razy się o nią nawet modliła. Jej modlitwy nie zostały wysłuchane.

Minęło kilka miesięcy, podczas których nic się nie wydarzyło. Aż wreszcie pojawił się u niej mężczyzna w średnim wieku.

– Proszę pani – zwrócił się oficjalnym, lecz przyjaznym tonem – reprezentuję grupę osób, regularnie zbierającą się w kaplicy, w której zabił Sebastiana. Do dziś jest tam na posadzkę krwawa plama. Początkowo przychodzili różni ludzie wzburzeni tą zbrodnią, aby zaprotestować przeciwko panoszącemu się bestialstwu. Jednak niektórzy zaczęli się zastanawiać, dlaczego Sebastian zginął. Doszliśmy w końcu do przeświadczenia, że wielkie musiało być to, czemu służył, skoro za to umarł. A szukając tego staliśmy się chrześcijanami.

Wanda wstała i podeszła do okna. Jej serce biło szybko, ale po chwili się uspokoiło.

– Kiedy odbywają się zebrania? – zapytała.

– W każdą niedzielę o 10.00.

– Będzie pan po mnie przyjeżdżał?

Wdowa po pastorze

Ludzie młodzi częstokroć nie spodziewają się niczego dobrego ze strony starych. Stereotypy, propaganda albo zwykłe plotki każą im widzieć w nich poważne zagrożenie. Na ogół jednak niesłusznie.

Patryk ledwie ukończył Chrześcijańską Akademię Teologiczną, gdy został wezwany do objęcia zboru w Serafinowie. Tamtejszy pastor niespodziewanie umarł i trzeba było jak najszybciej go kimś zastąpić.

Wraz z Beatą, którą poślubił kilka tygodni wcześniej, jechał pociągiem do Serafinowa. Niemal cały ich dobytek spoczywał w dwóch walizkach na wagonowych półkach. Oboje byli pełni młodzieńczego optymizmu. Lecz chwilami popadali niestety w popłoch.

– W zborze pozostała wdowa po zmarłym pastorze – powiedział do żony ostrzegawczym tonem. – Ponoć taka wdowa niekiedy jest bardzo nieprzyjazna dla nowego duchownego. Wydaje się jej, że zniweczy on dorobek poprzednika.

– Może to wywołać konflikty – zaniepokoiła się Beata.

– Właśnie.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Amen.

Już pierwsze spotkanie ze starą pastorkową rozwiało wszelkie obawy. Okazała się bowiem nadzwyczaj serdeczna, a nade wszystko rozsądna.

– Powiada się – mówiła dość wesoło – że wdowy po pastorach są wrogo usposobione do ich następców. Każdą zmianę jaką oni wprowadzą, oceniają zawsze źle, bo, według nich, burzy porządek zaprowadzony przez ich małżonka. Gdybym ja tak postępowała, musicie mnie natychmiast o tym zawiadomić, bym nie spowodowała jakichś konfliktów.

Patryk i Beata zaczerwienili się.

Grzegorz Pełczyński

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (208)



Fot. Andrzej Dębkowski

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku dokonano wielkiego dzieła. Mianowicie, uchwalono jednolite ustawodawstwo farmaceutyczne po latach rozbiorów. Był to wyraz rzeczywistej troski państwa o zdrowie obywateli. Zespolona z tym procesem legislacyjnym była dyskusja na temat zdrowia człowieka. I właśnie jego ochrona – a nie czyjekolwiek interesy – doszły do głosu w uregulowaniach ustawodawczych.

W Polsce Niepodległej, czyli w okresie międzywojennym, krytykowano Stany Zjednoczone, bo wypaczyły charakter aptek czyniąc je swoistymi kramami. Siła mody i naciśku doprowadziła do tego stanu w Polsce w XXI wieku. Odpowiedzialność powinna doprowadzić do zakazu handlu lekarami poza aptekami. Lekarstwa wymagają przechowywania w określonych warunkach i osób przygotowanych do ich sprzedaży.

W dzisiejszej Europie funkcjonuje niepokojąca zgoda na sprzedawanie lekarstw w domach handlowych – bo nie należy ich nazywać galeriami – na pocztach, w kioskach, czy w stacjach benzynowych. Ochrona zdrowia a nie opłacalność powinna stanowić szczególną wartość. Inaczej będzie narastać uzasadniona nieufność do lekarzy i aptekarzy. Te grupy, a mianowicie lekarze i aptekarze mają przedłużać życie pacjentów, natomiast zarabianie powinno stanowić cel dalszy.

I tu dochodzimy do zasadniczych sprzeczności, które zachodzą między aptekarzami a firmami farmaceutycznymi. Otóż zgodna z interesami koncernów farmaceutycznych jest masowa sprzedaż lekarstw. Jest również oczywiste, że wojny sprzyjają interesom koncernów farmaceutycznych będąc źródłem ich wielkich zysków.

W latach międzywojennych krytykowano sprzedaż lekarstw w drogeriach, czy w domach handlowych, bo nie każdy powinien być uprawniony do dyspensowania lekarami. Monopol aptek jest postulatem, który powinien zostać urzeczywistniony jeżeli poważnie uznaje się życie człowieka za wartość fundamentalną. Dawniej rozumiano, że lekarstwa nie są towarami. Pisano o niskiej kulturze amerykańskiej skoro w ich aptekach można kupić także inne przedmioty. Nie wyobrażano

sobie sytuacji, by właściciel apteki nie był farmaceutą.

Niestety, każdy z nas może stać się pacjentem. Sprawa aptek i aptekarzy jest więc sprawą publiczną. Już w 1939 roku przedstawiciele Związku Polskiego Przemysłu Farmaceutycznego ostrzegali, że szkodliwe jest dopuszczenie do sprzedawania lekarstw poza aptekami, bowiem nie podlegają one przepisom o prowadzeniu aptek. Zdaniem tego Związku, nie wolno udzielać zezwoleń na sprzedaż poza aptekami, ponieważ lekarstwa mają być pełnowartościowe, a więc przechowywane na przykład w odpowiedniej temperaturze. Dawniej wiedziano u nas o tym, że nie wolno zastąpić aptek punktami sprzedaży różnorodnych towarów z lekarami włącznie.

Człowiek jest jednością psychosomatyką, więc aptekarze powinni poza wiedzą fachową zdobywać w czasie studiów elementarną wiedzę także o psychice człowieka, a przede wszystkim o wpływie określonych lekarstw na nią. Wszak nawet antybiotyki oddziałują na nasze samopoczucie, a w czasach epidemii liczne stają się przypadki złego samopoczucia. Tym bardziej więc w czasach osłabienia psychicznego świadomością zagrożenia życia, można by oczekiwać protestu aptekarzy i lekarzy wobec niepokojącego zjawiska, jakim jest reklamowanie lekarstw i szerepienek. Ich oddziaływanie na decyzje człowieka chorego jest głębsze niż w okolicznościach spotęgowanej odporności psychicznej. Nieprawdą jest, że reklama równa się informacji, czyli nieprawdą jest, że swobodnie, bez nacisków, wybieramy lekarstwa.

Lekarstwa wytwarzane są dla milionów chorych, mają z reguły wiele skutków ubocznych i należałoby też dopuścić do informacji w mediach – bo nie reklamowania – punkt widzenia medycyny pozaakademickiej.

Reklamowanie lekarstw jest zabiegiem komercyjnym. Nie ma nic wspólnego z dobrem pacjenta. Utajnianie metod leczniczych medycyny pozaakademickiej oraz naturalnych lekarstw pozostaje w sprzeczności z głoszoną wolnością człowieka, w tym wolnością światopoglądową w państwach demokratycznych. Media publiczne powinny uwzględniać, że społeczeństwo składa się z osób kultywujących medycynę akademicką oraz z osób kultywujących metody medycyny pozaakademickiej, w tym na przykład homeopatię, ziołolecznictwo, akupunkturę, akupresurę. Reklamowanie cudownych możliwości jednej tylko z dróg ocalenia pozostaje w sprzeczności z koncepcją państwa demokratycznego i kultywowania w Unii Europejskiej praw człowieka.

Pouczające oraz inspirujące bywa sięganie do dawnych publikacji. Wzmagają one refleksje nad aktualnymi problemami. Okazuje się też niejednokrotnie, że pewne problemy niezmiennie towarzyszą kolejnym pokoleniom. Do niektórych rozwiązań warto powrócić w XXI wieku. Wszak w połowie XIX wieku starannie odróżniano aptekarzy od farmaceutów. Jedynie niektórzy spośród ostatnio wymienionych mieli przyznany „stopień aptekarza” na podstawie złożonego egzaminu. Ustawa dla farmaceutów i aptek z 1864 roku

uznaje, że jedynie wykwalifikowani aptekarze mają prawo trudnić się przyrządzaniem lekarstw.

Oczywiście, z dzisiejszego punktu widzenia było dyskryminacją dopuszczanie do stanu farmaceutów osób jedynie wyznania chrześcijańskiego. U podłożu tego stanowiska w połowie XIX wieku, był podział obywateli na lepszych i gorszych stosownie do wyznania religijnego. Słuszne natomiast było ograniczenie aptekarzy do posiadania wyłącznie jednej apteki. Słuszne, bo sprzyjało koncentrowaniu uwagi bardziej na problemach pacjentów niż na zysku. Taka jest bowiem ludzka natura, że w miarę wzbogacania się, wzmagają się jeszcze bardziej chęć pomnażania majątku. Ponadto ustawa zezwalała jedynie aptekarzom na posiadanie aptek. Podkreślam, że należy czerpać z tradycji, w tym przypadku z tradycji Królestwa Polskiego.

Wymagania etyczne były wyższe wówczas niż w czasach dzisiejszych. Co więcej, zezwalano wówczas na zakładanie nowych aptek tylko wtedy, gdy miejscowe okoliczności przemawiały za koniecznym otwarciem nowej apteki. Obecnie wytwarza się niezdrowa konkurencja. Zakładają się nowe apteki w bliskim sąsiedztwie już istniejących.

Aptekarze powinni służyć radą wyboru lekarstwa i to często odległą od narzucanych im, przez koncerny, specyfików do sprzedaży. Nawet gripex można zastąpić naturalnymi środkami. Nie musimy na wzór bohaterów filmów amerykańskich zażywać tabletek nasennych w skali masowej. Negatywne skutki uboczne zażywanych lekarstw mają źródło w tym również, że produkuje się je dla milionów ludzi mimo różnic w sposobie odżywiania, ciężarze ciała, w przebytych chorobach, etc.

Rozmowa w aptece jest łatwiejsza niż z lekarzem, bo jest anonimowa, co wzmagają szczerość. Nikt nas nie pyta o imię i nazwisko, o adres, czy datę urodzenia. Oczywiście pomijam sytuacje, gdy dane te widnieją na recepcie.

Można się spodziewać, że wzrosłoby zaufanie do aptekarzy, gdyby został opracowany i ogłoszony Kodeks Honorowy Aptekarzy Polskich. Pojęcie honoru jest bardziej uniwersalne niż zróżnicowane światopoglądowo pojęcie dobra i zła. Upadek pewnych wartości, w tym honoru, to rezultat amerykańskiej, kopiowania tego, co uznaje się za symbol nowoczesności. Wytworzony został lęk w społeczeństwie, by nie wydać się staromodnym, pozostającym na obrzeżach tego, co uznaje się za europejskie.

Człowiek honoru spełnia swoje obowiązki przede wszystkim dlatego, by pozostać w zgodzie z własnym ja. Aprobata, którą darzą nas inni nie jest dla człowieka honoru ani miernikiem, ani celem podejmowanych wysiłków. Poczucie honoru narzuca rozmaite ograniczenia wykonywanej pracy. Trudno sobie wyobrazić aptekarza, który byłby mizantropem. Poczucie honoru zobowiązuje i zarazem nobilituje.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(53)

6 lutego 2020

Spotkanie autorskie Ryszarda Mściszca w MBP z okazji wydania w Podkarpackim Instytucie Książki i Marketingu tomiku poetyckiego „Kołotanie do wrót nocy”. Lubię wiersze Mściszca, bo są niby proste, ale głębokie, a także wyjątkowo szczere. Ale kto zechce się nie wczytywać? Obawiam się, że wszystko skończy się na udanej imprezie i oklaskach i niczym więcej. Sam autor zawsze skromny i chętny w udzielaniu pomocy innym. Recenzję książki Mściszca napisał Mirosław Grudzień i opublikował ją wcześniej na stronie internetowej naszego oddziału. Moim zdaniem zbyt wiele w niej metafizyki, tj. terminów z zakresu literatury i filozofii. Nie stwarzał podstawy do dyskusji. Na sali było dużo ludzi, może nawet setka. Przyjechali nawet jego ziomkowie z Jęzowego i uczniowie. Ale dyskusja moim zdaniem była nieciekawa i mało merytoryczna. Wszyscy raczej ograniczali się do wygłoszenia kilku pochwalnych zdań. Zamierzałem na spotkaniu oprócz złożenia Mściszowi gratulacji powiedzieć coś więcej o moim projekcie klubu literackiego, ale niestety zostałem zmuszony do skrócenia swej wypowiedzi, bo – jak mi powiedziano – niewielu to interesuje. Poradzono mi, abym omówił to sobie kiedyś na zebraniu organizacyjnym, choć zapowiedziałem, że nie zamierzam organizować żadnych zebrań, tworzyć zarządu, powoływać prezesa czy rejestrować statutu w sądzie, ale wydać almanach, trochę inny niż wydawane przez SL Witryna, a więc bez zdjęć, nieprawdziwych autobiogramów, bez dzielenia uczestników almanachu na grupy, a więc lepszych lub gorszych, czy bliższych lub dalszych, ale skupieniu się na samej twórczości, opatrzonej nazwiskiem autorów. O taki sens wydawania mi chodzi, a nie o splendor i korzyści wydawcy, i zawłaszczania przez niego części almanachu, jak to było wielokrotnie u nas w praktyce przed laty, gdy wydawało go miejscowe wydawnictwo. Cały almanach powinien być przeznaczony dla jego uczestników poza tzw. egzemplarzami obowiązkowymi, do których zaliczam także naszą MBP. Co prawda patronować zgodził się zarząd ZNP, bo musi ktoś na naszych prośbach czy wnioskach przybić swoją pieczęć. Ale przecież nie ograniczę się tylko do nauczycieli. Bo to niemożliwe. Uczestnikami almanachu mogą być wszyscy: zrzeszeni i niezrzeszeni. Chodzi o to, by było w tym jak najmniej biurokracji i indywidualnych ambicji, ale liczyła się mądrość zbiorowa.

7 lutego 2020

Noc miałem wyjątkowo ciężką. Bo wczoraj wieczorem wypilem o jedną kawę za dużo.

No i te przeżycia związane ze spotkaniem. Kiedy się obudziłem o północy, zaparzyłem sobie ziółka „na dobranoc”, i zająłem lekturą: na zmianę Szołochow, Tokarczuk, Zarys dziejów religii. Myślałem, że w ten sposób zmęczone się i zasnę. Niestety. I to nie pomogło. Zasnąłem dopiero po zażyciu środka nasennego gdzieś koło 2.00.

Dziś zaś dużo biegający i to od rana. Najpierw poszedłem do Urzędu Skarbowego po druki do rozliczenia się ubiegłorocznych dochodów. Potem idę do banku, biblioteki i do Sekcji Emerytów i Rencistów aż na Czarnieckiego. Przed obiadem zdążyłem zapoznać się dzisiejszą prasą – Echem i Rzeczpospolitą, a także Parkietem. Niedzielę zostawiłem sobie na porę poobiednią, gdy wpadnę znów do biblioteki. W czasie obiadu obejrzałem kolejny odcinek filmu o Japonii – o jej przyrodzie i kulturze. Nie dziwiw się wcale, że tak wielu ludzi jest zachwyconych tym państwem, jego poziomem technicznym, cywilizacyjnym, dbałością o ekologię. Setki lat życia na wyspach i tak trudnym, sejsmicznym terenie ukształtowały ich mentalność. Jeśli chodzi o mnie, to wolę podziwiać Japonię na filmie niż wybrać się do niej z biurem podróży za kilkanaście tysięcy złotych i mieszkać w hotelach. Jest to tańsze i wygodniejsze. W bibliotece rozmawiam ze znajomymi o wczorajszym spotkaniu. Jeden z uczestników, stały czytelnik i bywalec MBP, bardzo pozytywnie wypowiadał się o poezji Ryszarda Mściszca, choć nie należy do towarzystwa literackiego. Widzę jednak, że trochę się na tym zna, skoro umiał docenić te wiersze.

8 lutego 2020

W południe wpadła do nas Patrycja z całą swoją rodziną, a więc także z mężem. Przyjechali na imieniny matki zięcia, czyli – jak się u nas mówi – naszej swatowej. Dla nich to koniec laby, bo dziś kończą się ferie szkolne, a od poniedziałku zaczyna normalna praca: do szkoły marsz! Dzieci jak zawsze wyciągnęły ze skrzyni swoje zabawki i bawiły się w moim pokoju, choć mają już odpowiednio prawie 9 (kwiecień) i 14 lat (lipiec). Zawsze porozrzucają te zabawki po kątach, a potem na sygnał: już jedziemy, byle jak pakują do skrzynki, a te – poza widokiem – zostawiają. Ale dobrze je widzieć zawsze zdrowe i pełne życia. Oby tak było zawsze! Pytam czy lubią wychowanie fizyczne? „Nie! – odpowiadają. „No przecież tańczysz w zespole” – mówię do wnuczki – „a ty ćwiczyłeś karate” – zwracam się do wnuka. „Ale to jest co innego niż wuef” – słyszę. Żadne z nich nie zdradza też zainteresowania takim przedmiotem jak język polski. Szkoda, bo w domu tyle książek. Wolą za to zerkać do telefonu.

Nasza lokalna, rzeszowska prasa żyje też skandalem wywołanym przez b. proboszcza z Jasionki, który skradł w jakimś sklepie w Rzeszowie paczkę prezerwatyw. Domyślam się, że wstydił się pokazać to kasjerce, która mogła go rozpoznać jako księdza. Teraz za to jest wstyd podwójny. No i został odwołany z probostwa natychmiast przez rzeszowską kurię biskupią. A co będzie z nim dalej, trudno

przewidzieć. Pewnie bez pokuty w klasztorze rok czy dwa się nie obejdzie. Tak to jest. Młody człowiek idzie do seminarium pełen zapału, ideałów, jakoś je kończy, a potem staje przed szarą rzeczywistością. Adrenalina w młodym człowieku przecież działa. Trzeba mieć żelazny charakter, aby się nie dać zwabić pokusom i kobiecej urodzie. Dlatego według mnie celibat księży świeckich nie jest konieczny, skoro inni chrześcijanie go nie mają, choćby prawosławni czy protestanci, a jakoś kościoły ich funkcjonują. Może kiedyś i Kościół katolicki zmieni zdanie? Na razie na małżeństwa duchownych przyzwolenia nie ma. Za to będą takie czy inne skandale czy skandaliki. Niestety.

9 lutego 2020

W nocy był niewielki mróz, nad ranem minus 6 stopni. Ale za to od 10.00 pięknie świeciło słońce. Jak zwykle pojechaliliśmy do lasu na spacer. Ludzi sporo: jedni pieszo, inni na rowerach, a jeszcze inni z psami na smyczy lub kijkami do nord walkingu. Spotkaliśmy wielu znajomych, m.in. zastępcę dyrektora MDK z rodziną – żoną i wnukami. Ciemny Kąt staje się u nas w Stalowej Woli coraz bardziej modny jako miejsce sobotnio-niedzielnego wypoczynku.

Z przysyłanych mi różnymi kanałami informacji mogę wysnuć wnioski, że duchowni katolicy stali się obecnie przedmiotem różnych dowcipów i żartów w tzw. mediach społecznościowych i Internecie. Niemalże codziennie coś nowego. Najczęściej są to dowcipy bądź informacje skandalizujące, a więc dot. przygód erotycznych księży lub ich pazerności. Pamiętam jeszcze ze szkoły średniej artykuł z podręcznika do Młodej Polski, autorstwa Wacława Nałkowskiego, prof. UJ, ojca Zofii Nałkowskiej, że „skandale są czynnikami ewolucji”. Nałkowski zgodnie z pozytywistycznymi tendencjami wierzył, że ma to na społeczeństwo zbawienny skutek, jest rodzajem oczyszczania z brudów. Ale czy tak naprawdę, śmiem wątpić. Media obecnie takie historie produkują już tylko po to, by mieć czytelników, by budzić w ten sposób wokół siebie zainteresowanie. Czy inaczej jest z celebrytami? Niektórzy gotowi nawet się obnażyć, bo być na pierwszych stronach. Przeciwwstawianie się temu zjawisku czy tendencjom pewnie też nic nie da. Można liczyć tylko na to, że każda moda przemija. Kto dziś pamięta, że w czasach mojego dzieciństwa i wczesnej młodości była moda na skakanki, hola-hop itp. Kto o nich dziś wie i pamięta? A dzisiejsze dzieci i młodzież zapatrzona są raczej na smartfony. Dyskutuje się obecnie w kręgach pedagogicznych czy dzieci powinny je nosić do szkoły, czy nie. Ale dla matek to jedyna możliwość kontaktu z dzieckiem.

Mirosław Osowski



POEZJA

Andrzej Ballo, *Niczyje*. Zdjęcie autora: Luiza Greta Ballo. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 54.

Grzegorz Bazylak, *Manekiny Rubensa*. Projekt okładki FŚL. Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2023, s. 76.

Maciej Bieszczad, *Pasaże*. Zdjęcie autora: Valeria Marik. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 48.

Zbigniew Chojnowski, *Co to to*. Zdjęcie autora: Krzysztof Dubiel. Zdjęcie na okładce Cezary Dubiel, *bez tytułu*, 2021. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 58.

Adrian Gleń, *Jest*. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 50.

Waldemar Jocher, *Dzieńdzień*. Zdjęcie autora: Judyta Jocher. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 36.

Kazimierz Kyrzyc Jr, *Punk Ogito w podróży*. Zdjęcie autora: Bartosz Konopacki. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 52.

Franciszek Lime, *Garderoba cieni*. Zdjęcie autora: Maria Mazurek. Zdjęcie na okładce, projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 34.

Juan Manuel Roca, *Obywatel nocy*. Zdjęcie autora: Carlos Mario Lema. Grafiki na okładce i w książce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Szesnaście i Pół*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 48.

Jerzy Utkin, *Bilans strat i zysków*. Redakcja: Stefan Pastuszewski. Korekta: Romuald Mikołajczak. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2023, s. 32

Jerzy Wratny, *Wiersze wybrane*. Opracowanie graficzne: Marlena Makiel-Hędrzak. Fraza, Rzeszów 2023, s. 146, wydanie II uzupełnione.

Wojciech Zamysłowski, *Birdy peak experience*.

Zdjęcie autora: Elżbieta Zamysłowska. Zdjęcie na okładce: Cezary Dubiel, *bez tytułu*, 2022. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2023, s. 54.

PROZA

William Brewer, *Czerwona strzała*. Przełożył: Jarek Westermarck. Projekt okładki: Tomasz Majewski. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 376.

John Cheever, *Wizja świata. Opowiadania amerykańskie*. Przełożył: Krzysztof Majer. Wybór i przedmowa: Julian Barnes. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Obraz na okładce: Kurt Kauper, *Man Lying Down*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015, s. 402.

Kristiina Ehin, *Planeta pozeraczy serc*. Przełożyła: Marta Perlikiewicz. Projekt okładki: Ewelina Kruszewska. Projekt typograficzny serii / kolektyw kilku.com. Warsztaty Kultury, Lublin 2023, s. 92.

Zbigniew Prunel, *Pomiędzy*. Projekt okładki: Mirosław Jastrzębski. Wydawnictwo LTW, Łomianki 2023, s. 166.

Lamed Szapiro, *Wylej swój gniew. Opowiadania. Z języka jidysz przełożyła: Bella Szwarzman-Czarnota*. Projekt okładki: Artur Blusiewicz i Joanna Kogut-Blusiewicz. Portret Lameda Szapiry: Artur Blusiewicz. Projekt typograficzny serii: Tomasz Smółka. Warsztaty Kultury w Lublinie, Lublin 2023, s. 164.

Jolanta Szymska-Wiercioch, *Ja Jadwiga K*. Ilustracja na okładce, sztuczna inteligencja (Canva.com). Projekt okładki: Jolanta Szymska-Wiercioch. Ridero 2023, s. 54.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Dariusz Czaja, *Lekcje ciemności*. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Fotografia na okładce: Dariusz Czaja. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 376.

Stanisław Czycz, *Za bramą gasnącego sierpnia*. Redakcja: Jacek Rozmus, Dorota Niedziałkowska, Tomasz Ryrych. Projekt okładki: Janusz Schneider. Zdjęcia na okładce: Jacek Rozmus. Opracowanie typograficzne: Zuzanna Konieczna. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2023, s. 346.

Jolanta Dudek, „Jeśli mi słowo bić przestanie, co mi po sercu”. *O twórczości Kazimierza Wierzyńskiego*. Projekt typograficzny: Marcin Bruchnalski. Projekt okładki: Aurelia Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 248.

Anna Frajlich, *Szyborska. Poeta poetów*.

Zdjęcie na okładce: Władysław Zajęc. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Wokół Literatury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Szczecin, Bezzręcze, Toronto 2023, s. 148.

Arkadiusz Frania, *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy*. Opracowanie graficzne, projekt okładki: J.M. Kracucki. Fotografia autora: Szymon Halter. Towarzystwo Galeria Literacka, Galeria Literacka 2022, s. 138.

Arkadiusz Frania, *Między pasją pisania a korektą słów. Z historii Częstochowy*. Opracowanie graficzne, projekt okładki: J.M. Kracucki. Fotografia autora: Szymon Halter. Towarzystwo Galeria Literacka, Galeria Literacka 2023, s. 158.

Tomasz Garbol, *Polskość tacińska. O twórczości literackiej Karola Wojtyły, Jana Pawła II*. Projekt typograficzny: Marcin Bruchnalski. Projekt okładki: Adam Gutowski. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 198.

Andrzej Mencwel, *Nauczyciele i Przyjaciele*. Projekt okładki i stron tytułowych: Elżbieta Chojna. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2023, s. 262, wydanie II zmienione i poprawione.

Arkadiusz Morawiec, *Polska literatura obywatelska*. Projekt okładki: Polkadot Studio Graficzne Aleksandra Woźniak, Hanna Niemierowicz. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023, s. 426.

Anna Nasiłowska, *Mroźek. Biografia*. Projekt okładki, układ typograficzny: Anna Pol-Pawrowska. Opracowanie graficzne: Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 744.

Krzysztof Polechoński, *Kronikarz „czasów niepewnych”. O Ferdynandzie Goetlu i jego twórczości*. Projekt typograficzny: Marcin Bruchnalski. Projekt okładki: Aurelia Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 260.

Jake Poller, *Aldous Huxley. Biografia*. Przełożył: Bartłomiej Zborski. Projekt okładki i stron tytułowych: AKC / Ewa Majewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 334.

Maciej Robert, *Rzeki, których nie ma*. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny: Robert Oleś. Fotografia na okładce: ©Tomasz Stańczaka / AgencjaWyborcza.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 336.

Szkice o najnowszym teatrze białoruskim (2010-2020). Redakcja naukowa wydania polskiego, wstęp i posłowie: Irina Lappo. Koncepcja i wybór tekstów: Hanna Kamiajuk. Projekt okładki: Tomasz Smółka. Fotografia na okładce: Zmicer Waynowski. Warsztaty Kultury w Lublinie, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Lublin 2023, s. 200.

Józef Unierzycki (ok. 1861-1948) malarz akademicki, uczeń i zięć Jana Matejki, rodem z mazowieckiej szlachty. Na okładce S. Rostworowski, *Portret Józefa Unierzyckiego, ok. 1887*. Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie, Ciechanów 2023, s. 168.

Spotkanie z Arturem Barcisiem, albo jak nie napiłem się z Józefem Baranem

Było tak.

Umówiłem się na wywiad z Arturem Barcisiem w Teatrze Żelaznym w Katowicach. Uruchomiłem GPS, i po jakiejś godzinie znalazłem się na dzikim parkingu przy torach na stacji Katowice-Piotrowice. GPS jak to zwykle bywa zaprowadził mnie niezbyt dokładnie, mogę rzec, że od zaplecza. Zaparkowałem auto na dzikim parkingu i – rozglądając się uważnie na wszystkie strony – przebiegłem przez tory i wdrapałem się na peron. Kawałek dalej zobaczyłem nieczynny budynek nastawni. Nieco zdezorientowany podszedłem do niego z nadzieją na spotkanie z jakimś kolejarzem, który wskaże mi drogę do Teatru Żelaznego (zakładałem, że musi być gdzieś w pobliżu). Kiedy dotarłem do budynku ujrzałem siedzącego na murku długowłosego faceta który wyciągał gitarę z futerału. Przywitałem się, pytając, czy nie wie, gdzie jest Teatr Żelazny. Mężczyzna obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem ruchem głowy, wskazując budynek nastawni:

– To tutaj – powiedział, kontynuując wyciąganie gitary.

Tutaj? Pomyślałem sobie, kuląc się przed hałasem pędzącego przez peron pociągu towarowego. Zrobiłem kilka kroków, słysząc jak nieznajomy mężczyzna stroi gitarę. Jest! Nad wejściem do nastawni błyszczał szyld. TEATR ŻELAZNY. Pokonałem szybko trzy stopnie schodków i już miałem złapać za kłamkę, kiedy zobaczyłem kartkę. TRWA CASTING. PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ. Mimo wszystko złapałem za kłamkę, dwa razy nacisnąłem, ale na nic to się nie zdało. Wróciłem do nieznajomego mężczyzny, który właśnie zaczął coś brzdąkać na gitarze.

– Pan też na casting? – zapytałem.

– Nie. Przyjechałem z kolegą, on jest teraz na castingu, ale niech pan wejdzie tymi drzwiami, to do kawiarenki.

Tym razem drzwi puściły. W kawiarence siedziało kilka osób, w tym aktorzy teatru, którzy mnie poznali, przywitałem się ze wszystkimi.

– Niech pan jeszcze chwilkę poczeka, Artur akurat ma petenta.

Usiadłem. Grzecznie odmówiłem proponowanej mi kawy, i bardzo dobrze, ponieważ w tej właśnie chwili drzwi od sali

teatralnej się otworzyły, a w progu pojawił się Artur Barciś kończący rozmowę z moim znajomym aktorem z Krakowa.

– Maciek? – nie ukrywałem swojego zaskoczenia.

– Mirek! – Maciek był równie zaskoczony jak ja.

– To panowie się znacie? – zdziwił się Artur Barciś.

– Znamy się. Grałem w Mirka sztuce – przyznał Maciek.

I to było przełamanie pierwszych lodów.

– To pan Mirek jest dramaturgiem, myślałem, że tylko wywiady robi.

Maciek wyjaśnił co i jak.

– No to teraz wszystko jasne. Miałem mieć przerwę śniadaniową, ale pan Mirek uparł się na wywiad – poskarżył się Barciś, zapraszając mnie do środka. Zdążyłem jeszcze zakomunikować Maćkowi, że po wywiadzie odwiozę go do Krakowa.



Artur Barciś z autorem

Co tu dużo ukrywać, wywiad był bardzo udany, ja miałem to szczęście, że znałem Artura od czasów Piątku z Pankracym. Na koniec, po sympatycznej rozmowie, strzeliliśmy sobie fotkę, a ja, jak mogłem najkrócej, streściłem moją sztukę „Upside down”, w której grał Maciek Małysa. Wracając do „Upside down”, zaprosiłem na moją sztukę poetę Józefa Barana, napisałem co i jak, no i wyraził zgodę. To miał być nasz honorowy gość na widowni, która liczyła – uwaga – 60 miejsc, a teatr „Scena na Lwowskiej”, mieścił się w części starej kamienicy przy Lwowskiej 30 w krakowskim Podgórzu. Szkopuł w tym, że wejście do teatru prowadziło bezpośrednio na scenę,

więc za każdym razem na 5 minut przed spektaklem było zamykanie na trzy spusty. Drzwi były przemysłowe, więc trudno było usłyszeć ewentualne pukanie spóźnialskich widzów. Niestety Józef Baran nie pojawił się na widowni, a w garderobie czekała na niego, kupiona na tą okoliczność czysta wódka, i to dobrego sortu. Światła zgasły, muzyka towarzysząc widowni ucichła, przedstawienie rozpoczęło. Po kilku minutach, aktorzy, którzy byli w garderobie usłyszeli pukanie do drzwi prowadzących na klatkę schodową, która oddzielała scenę od garderoby. Jeden z wolnych aktorów zbiegł pół piętra, ja za nim, w drzwiach pojawił się Józef Baran. Cóż było robić, zaprosiliśmy poetę za kulisy. Ja miałem w tej sztuce trzy epizody, więc czekałem na swoją kolej za kulisami, czekałem w towarzystwie Józefa Barana. Fabuła tej sztuki poruszała również choroby onkologiczne. Józef Baran przysłuchując się zza kulis dialogom, zapytał mnie szeptem, skąd znam tak dobrze terminologię medyczną. Odpowiedziałem, że jestem w trakcie leczenia, i przy okazji dowiedziałem się, że Józefowi Baranowi też sprawy onkologiczne nie były oszczędzone. Cieszyłem się bardzo z jego towarzystwa, ponieważ zdarzyło nam się korespondować, kiedy prowadził w „Dzienniku Polskim” WIERSZOWISKO. Już zacierałem ręce, że po spektaklu na raucie wypije strzeżennego z Józefem Baranem, kiedy ten, prawdopodobnie w związku z niewygodami za kulisami, poinformował mnie, że nie wytrzyma do końca spektaklu, i że chciałby abyśmy go wypuścili. Cóż było robić, wypuściliśmy go, jak najciszej tylko było można. Po chwili Józef Baran zniknął w ciemności podwórka.

Nie wypięm z Józefem ani brudzia, ani strzeżennego, czego nie mogę sobie do dnia dzisiejszego darować.

Mirosław G. Majewski



Mirosław G. Majewski jako aktor



Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarnowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Adam Lewandowski, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, Stefan Rusin, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.